Nr. 3. Poznań, niedziela 19-go stycznia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański"
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Szkoły ludowe w Rosyi.*)

I.

C'est en comparant le passé avec le présent, qu'on peut augurer de l'avenir.
Michelet.

W r. 1866 mianowany został hr. Dymitr Tołstoj ministrem oświaty ludowej, zatrzymując równocześnie urząd nadprokuratora św. synodu. Nowy minister przedstawił Aleksandrowi II opinie swoje o wykształceniu ludu, których najciekawszym ustępem, ogłoszonym w „Czasopiśmie ministerstwa oświaty ludowej" (r. 1867, nr. 1) była argumentacya, od jakiej to klęski hr. Dymitr Tołstoj wybawił Rosyę, obalając projekt poprzednika swego Gołowina, dotyczący założenia seminaryi nauczycielskich. „Światły" minister uznał specyalne szkoły dla nauczycieli ludowych nietylko za zbyteczne, lecz nawet za szkodliwe z powodu „grożącej im zarazy nihilistycznej", natomiast uznano duchowieństwo, mianowicie kandydatów stanu duchownego i zakrystyanów, za odpowiednich i przyrodzonych nauczycieli ludu.

O poziomie inteligencyi wśród rosyjskich popów świadczy referat jednego z „Błagoczynnych" (proboszczów) jakateryuosławskiej guberni, dotyczący pojawienia się sekty Sztundystów w jego parafii. W referacie tym czytamy, że „duchowni okoliczni, jako ludzie niewykształceni, wojny z sekciarzami prowadzić nie mogą," (str. 1380, nr. 87), lubo według tej samej relacyi „dwóch członków sekty zalicza się prawie do analfabetów, a reszta zupełnie." Wobec tego plany hr. Tołstoja oddające szkołę ludową w ręce popów i zakrystyanów — plany obecnie wznowione i wykonane przez Pobiedenescowa, — równały się zniszczeniu oświaty ludowej.

Prąd liberalizmu jednak, wiejący wonczas na wyżynach cesarstwa nie sprzyjał Tołstojowskim zakusom.

W roku 1869 urzędy prezesów w kolegiach szkolnych otrzymują marszałkowie szlachty, z wyraźną instrukcyą, by na etyczne wychowanie ludu baczną zwracali uwagę, a równocześnie powstają świeccy inspektorowie szkół ludowych, kontrolujący nauczycieli i kolegia. Oczywiście nowa maszynerya funkcyonuje słabo i nieprawidłowo. Liczba szkół się mnoży — ale brak sił nauczycielskich dotkliwie daje się we znaki. Na 9000 zakładów szkolnych przypada w r. 1879 tylko 60 inspektorów, a w r. 1880 skarży się komisya Czernigowa, że mnóstwo najróżniejszego gatunku urzędników miesza się do rządów szkolnych i paraliżuje do tego stopnia działalność pedagogów, że nauczyciele popychani to w tę, to w ową stronę, nie wiedzą ostatecznie, kogo słuchać i tłumnie ze szkół uciekają. Bądź co bądź jednak kierunek humanitarny przejawia się coraz enegiczniej i lubo w chwili przełomowej gra mnóstwo dysonansów i zamęt panuje ogólny, wychowanie ludu wkraczać poczyna na jaśniejsze tory.

Potem wstępuje na tron Alexander III. i sytuacya zmienia się natychmiast. Reakcyjne stronnictwo z Pobiedenoscewem na czele staje u celu, kończy się kokietowanie z liberalną opinią publiczną, dewizą staje się: Cerkiew i samowładztwo. W dniu 13. czerwca 1883 r. otrzymuje charakter parafialny szkół ludowych, zapoczątkowany przez hr. Dymitra Tołstoja, lecz unieruchomiony przez liberalizm Aleksandra II., sankcyę cesarską, a w r. 1893 święci Rosya uroczyście dziesięcioletni jubileusz zwycięstwa cerkwi w dziedzinie szkolnej: „Dziś mija lat dziesięć, — mówi Aleksander III. w reskrypcie wystósowanym przy tej sposobności do archireja Hermana — odkąd powołałem duchowieństwo do odnowienia przynależnej mu działalności oświecającej, — odkąd szkołę ludową w duchu prawosławnej wiary połączyłem z kościołem i parafią". Słowa te rozbrzmiewały na urzędowych zebraniach, — z jakiem jednak uczuciem inteligencya rosyjska przyjęła królestwo popów w szkole ludowej, o tem świadczy list głośnego krytyka Belińskiego wystosowany do Gogola: „Duchowieństwo nasze — mówi Beliński — jest przedmiotem ogólnej pogardy rosyjskiego społeczeństwa. Większość naszych księży odznaczała się zawsze tylko brzuchem grubym, scholastyczną pedanteryą i dzikiem nieuctwem. Kościół prawosławny był zawsze podporą knuta i sługą despotyzmu". To mówi znakomity pisarz rosyjski, — powaga w dziedzinie literatury i pedagogii. Aby jednak w całej jaskrawości uwydatnić charakter szkół parafialnych w Rosyi, przytoczymy tu słowa prawosławnego księdza Jana Fudla, który w konserwatywnem czasopiśmie „Russkoje Obosrenie" (wrzesień 1894) tak charakteryzuje cel szkoły parafialnej: „Głównem zadaniem szkoły parafialnej jest czynny współudział dzieci w nabożeństwie i dla tego najważniejsze miejsce w planie otrzymał śpiew kościelny. Szkoła parafialna jest tylko częścią wielkiej całości noszącej miano: „Starania kościoła około zbawienia człowieka", lub: „Kierownictwo kościoła dla zbawienia ludzkiego". Inne części tej całości są: Nabożeństwa, sakramenty, kazania i t. d. Szkoła przygotowuje dzieci do świadomego udziału w życiu kościelnem i dla tego podstawowym żywiołem szkoły parafialnej jest kościelność. To jest rzecz główna, a nie programy, książki szkólne i pedagodzy. Niech sobie zakres nauki w szkołach parafialnych będzie niższym niż w szkołach gminnych, duch pierwszych pozostanie zawsze kościelnym."

Oto jest opinia i definicya szkoły ludowej, wypowiedziana przez reprezentanta tej klasy, w której rękach de iure i de facto pozostaje całe wychowanie i całe życie duchowe 120 milionów ludzi.

*) Artykuł powyższy oparty jest na rozprawie zamieszczonej w listopadowym zeszycie czasopisma „Russische Zustände".

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie zachodnio-pruskich towarzystw ludowych.

W czasopismach polskich zaboru naszego wszczęła się żywa polemika z powodu statutów zachodnio-pruskich towarzystw ludowych, przepisujących, iż prezesem jest każdorazowy proboszcz nie z oboru, lecz z urzędu. Mianowicie „Gazeta Gdańska" (Nr. 4.) oświadczyła się przeciw takiemu klerykalizowaniu towarzystw, osłabiającemu ich charakter narodowy, i następujące przy tej sposobności wypowiedziała uwagi.

... W Prusach Zachodnich jest znaczna ilość zacnych Polaków, którzy w życiu swem nie zrozumieli nigdy dobrze, bo nie odczuli dość silnie „świę-

tej miłości kochanej Ojczyzny". Rana otwarta narodu nie krwawiła im nigdy serca, jego ból ich nigdy za gardło nie chwytał. Mają serca z przyrodzenia czułe, nie ich wina, że stosunki, w jakich żyli, nie wskrzesały iskier z popiołów. Są wszakże bardzo religijni.

I takim zawsza starczy, jeżeli coś „po katolicku" zrobione. Po za kościołem rozumieją w społeczeństwie tylko pracę zawodową i płacenie cesarzowi, co jest cesarskiego. Ta reszta niepotrzebna, bo, może być szkodliwą! Hasła narodowe n. p. cuchną im coś pogaństwem. Miłość ojczyzny streszcza się dla nich w miłości do języka, a bywają i tacy, dla których język ojczysty dla tego głównie jest pożądanym, bo to organ najlepszy do wyuczenia się religii. Bo o cóż chodzi na świecie — jak rozumieją — o zbawienie duszy, o nic więcej. Więc czyń dobrze, a o żadne tam mrzonki i ideały się nie pytaj.

Takie pojęcie zadania człowieka na świecie jest równie jednostronne jak dla bytu narodu i głębokości wiary niebezpiecznem.

... Dzisiaj więcej niż kiedykolwiek potrzebuje lud zachodnio-pruski rozbudzenia w sobie uczuć narodowych, inaczej narodowość tę stracą dziesiątki tysięcy tego ludu. Rozbudzenie uczuć narodowych podniesie zarazem uczucia wiary i religii, które staną się wówczas niejako właściwością usposobienia, istotną własnością jego duszy.

I lud czuje instynktowo tę potrzebę. Tu i owdzie już rozgorzał, a wszędzie ucho nadstawia żarliwie, gdy mu o narodzie polskim wspomnieć. Ale jak mało ze starszej braci wspomina mu o nim? Lud widzi, że w czasie, gdzie szkoła niemczy mu dzieci, gdy emigracya za morze i na zachód Niemiec go nęci, gdy nęcą go wielkie miasta ze sposobnością większego zarobku, gdy tysiące urzędników, a teraz nawet cały naród niemiecki patrzy i czycha, jakby mu narodowość odebrać, że dziś nie na czasie jego stare, zachodniopruskie lelum polelum, według którego chłop żenił się z Niemką katoliczką przyszedłszy do miasta i godził się na niemczenie swych dzieci, boć „Ojciec święty też po polsku nie mówi" i do dziś dnia (i niestety w dziesiątkach tysięcy przykładów) razem ze swą żoną P o l k ą nie widzi różnicy, czy dziecko wróciwszy ze szkoły, po polsku czy po niemiecku z rodzeństwem rozmawia.

„Toć oni i tak pozostaną katolikami". Hola! i to wielkie pytanie! Pastorzy twierdzą, że p o l s k o ś ć wielkie zawadza protestantyzowaniu Prus Zachodnich, i — mają racyą. Proszę nam pokazać protestanta P o l a k a w Prusach Zachodnich. Za jednego my pokażemy tysiąc protestantów, którzy b y l i P o l a k a m i. Zwracam uwagę, że protestantyzowanie w Księstwie tylko w z n i e m c z o n y c h okolicach, a specyalnie w obrębie rejencyi bydgoskiej zrobiło postępy.

Kończymy tedy twierdzeniem:

Przodownicy ludu naszego, gdziekolwiek są i czem są — powinni w nim rozbudzać poczucie narodowościowe.

* * *

Polskie fawory wobec niemieckich agronomów.

„Dziennnik Poznański" zamieścił w najświeższym czasie kilka zdrowych artykułów poświęconych naszym wadom narodowym. Z artykułów tych, oznaczonych literą M., cytujemy ustęp, karcący zakorzeniony wśród naszych wielkich właścicieli ziemskich zwyczaj oddawania zarządu dóbr swoich w niemieckie ręce. Pod tyt. „Rozmyślania na czasie" czytamy:

„Z góry jesteśmy przekonani, że odezwa się głosy, iż ta stosunkowo niewielka liczba posad, oddawanych przez naszych obywateli ziemskich w ręce obcych, nie wchodzi w rachubę i pozostaje bez wpływu na rozwój nasz ekonomiczny. Mylne to zupełnie przypuszczenie. Chociażby u nas było tylko s t o takich posad, a tyle jest ich co najmniej, chociażby każde udotowane było tylko 2000 do 3000 marek rocznie, przeciętnie zaś lepiej są udotowane, boć wiadoma rzecz, że obcoplemieńcy zajmują u nas właśnie najlepsze posady, to już roczna strata nasza, roczny podarunek nasz na rzecz tych, którzy bynajmniej równą życzliwością nam się n e odpłacają, wynosi 200 do 300 tyś. m., a więc jak na nasze stosunki, jak na biedę naszą, kwota wcale znaczna. Ale strata ta to jeszcze bynajmniej nie najgorsza strona smutnej tej sprawy. Trzeba je zresztą brać podwójnie, ponieważ taka suma nietylko płynie z polskich kieszeni do rąk obcych, ale o tę samą sumę uboższeje rocznie i z a r o b k o w o ś ć p o l s k i e g o żywiołu. Stanowisko urzędnika gospodarczego, zwłaszcza w dobrach, gdzie dziedzic sam nie mieszka, może być bardzo wpływowe tak pod względem ekonomicznym, jak i politycznym.

Ludność robotnicza dominiów naszych wynosi przeciętnie 100 do 200 dusz. Pomnożywszy liczbę tę przez sto otrzymamy rezultat taki, że co najmniej 10 do 20 tysięcy ludu naszego oddajemy dobrowolnie pod wpływ częstokroć bardzo nieprzyjaźnie dla nas usposobionych obcoplemieńców.

Zależność robotnika dominialnego od chlebodawcy swego jest pod niejednym względem znacznie większą, niż zależność robotnika przemysłowego, więc też i wpływ chlebodawców na wsi jest znacznie większy, niż wpływ chlebodawców w mieście. Ze zaś urzędnicy niemieccy nie wywierają wpływu tego w duchu i kierunku dla nas korzystnym, to chyba nie ulega żadnej wątpliwości. Przeciwnie, znamy dużo wypadków, iż urzędnicy Niemcy w dobrach polskich właścicieli nadużywali i nadużywają dziś jeszcze stanowisk swoich w celach germanizacyjnych, że zmuszają polski lud roboczy, aby używał w stosunkach służbowych tylko języka niemieckiego, że wywierają nań nacisk w tym kierunku, aby tylko u Niemców kupował, albo też rugują n. p. polskich włodarzy, ekonomów, pisarzy oraz rzemieślników dominialnych i zastępują ich Niemcami. Zachodzą wprawdzie wyjątki, ale bardzo nieliczne, któreby można na palcach policzyć. A weźmy dalej na uwagę inne skutki dziwnej tej polityki wielu naszych właścicieli ziemskich, jej moralne następstwa.

Czyż lud, patrząc na to, jak pan, jego rodak, złączony z nim węzłami krwi i wiary, najlepsze stanowisko, zastępstwo swoje, które równać się powinno ojcowstwu w szerszem tego słowa znaczeniu, powierza obcoplemieńcom? Czyż lud, patrząc na to, nie musi tracić zaufania do tych panów swoich, czyż nie musi wkraść się do serc jego podejrzliwość, że pan patryotyzm ma tylko na ustach a nie w sercu, że nie dba o dobro swych rodaków, swego społeczeństwa? I czyż przykład taki nie musi w sercach ludu oziębić także poczucia narodowego i obywatelskiego? Szkody tak moralne jak i materyalne, jakie ztąd wyniknąć mogą i wyniknąć muszą dla społeczeństwa naszego, są więc bardzo znaczne, bardzo dotkliwe. Jest to wogóle czysta ironia, że właśnie w chwili, w której zagrożeni jesteśmy na każdym kroku w naszym bycie narodowym, gdy powinniśmy wytężyć wszelkie siły do obrony narodowości naszej, sami sprowadzamy i osiedlamy między nami pionierów germanizacyi, sami rozbudzamy gorycz i obojętność w ludzie naszym, zamiast dobrym przykładem wzbudzać w sercach jego miłość i zaufanie do „starszej braci", do kraju i duchowej ojców spuścizny."

* *

Konserwatyzm warszawski. A l e k s a n d e r Ś w i ę t o c h o w s k i. tak charakteryzuje konserwatyzm warszawski w swojem „L i b e r u m v e t o", zamieszczonem w nr. 1 „Prawdy":

„Cały konserwatyzm obecny naszego dziennikarstwa mógłby dziad wędrowny zapakować w swoją torbę i zmieścić jeszcze w nią kromki chleba z dziesięciu wsi. Jest to garść plew, która tylko przez ciągłe rozdmuchiwanie przybiera postać tumanu i zasypuje ludziom oczy kolącemi łupinkami. Po za czterema, pięcioma ludźmi, którzy szczerze wierzą w to, co głoszą, reszta przedstawia zbieraninę najmitów, którym jest zupełnie obojętnem, co mają sobie włożyć w usta do wyplucia, aby tylko wkładali w nie coś smacznego do połknięcia, z dezerterów wszelakiego znaku, którzy wczoraj rąbali się językiem i piórem za Darwina, a dziś zaciągają się do pułku ks. Dębickiego, wogóle z mydłków, którzy upatrują w życiu ścieżek, wysypanych złotym piaskiem. Taki mydłek, wsunąwszy się na pole literatury ze zdatnością do gładkich rymów lub szumnych frazesów, rozgląda się, wyciąga nos ku wiatrowi i węszy, z której strony zalatuje go najsilniejsza woń przynęty. Czasem długo błąka się, myli i dopiero po pewnym czasie wpada na właściwe tropy. Ach, ileż tych lisów przesunęło się około naszej redakcyi! Przychodzi do nas jakiś emigrant z prasy galicyjskiej lub tutejszy klejnocik i z możliwie słodką miną mówi:

— „Byłbym panom bardzo wdzięczny, gdybyście w swem czcigodnem piśmie znaleźli dla mnie jakiś kącik. Nie chodzi mi jedynie o zarobek, ale także o zaszczyt pracowania w tak wzniosłym organie, pod tak dostojnym sterem. Od dawna było to mojem marzeniem, które dopiero dziś ośmielam się itd."

Doświadczenie nauczyło nas wielkiej wprawy w wyłuskiwaniu prawdy z takich uwielbień i dla tego po krótkiej indagacyi odpowiadamy:

— Jakkolwiek niezmiernie zaszczytne i miłe są dla nas te oświadczenia, jednakże sumienie każe nam ostrzedz pana. Nie gub się dobrowolnie! Naprzód my jesteśmy biedni i nigdy twej pracy nie wynagrodzimy należycie, powtóre, nie mamy stosunków, któreby panu pozwoliły zdobyć jakąś soczystą posadkę. Po trzecie, związek z nami utrudni panu karyerę. Z tych względów radzimy, zapukaj pan do redakcyj, które mają w swem ręku dobrodziejstwa losu.

Młodzieniec uśmiecha się z pełnym wdzięczności ukłonem i odchodzi. Wstrzymujemy go:

— Jeszcze słówko. Debiutując, nie zapomnij

---

3)

OLA HANSSON.

BEZDOMNY.

Tłomaczyła

I......i Łodzia.

(Ciąg dalszy).

Tymczasem czas upływał i nagle pokazało się, że w dziwnym tym zakątku zakwitła miłość idyliczna w ojców stylu. Zdawało mi się czasami, że ja sam nie jestem tym, którym dotąd byłem, zdawało mi się, że przybrany jestem w starodawny strój, jaki ongi młodzieńcy tutajsi nosili a dusza moja cofnęła się o sto lat w stecz-... Córa domu miała lat dwadzieścia, pełna inteligencyi, z ciemnemi oczami.. Wiedziałem wprawdzie, z jaką nieufnością śledziły mnie te oczy i jak szorstko nieraz brzmiały jej słowa, ale brałem to za staroświecki zabytek pruderyi dziewiczej.... A gdy głos jej łagodniał i oczy spoglądały z ufnością, doznawałem dziwnej radości.

Pewnego majowego wieczoru — podczas Zielonych Świątek — gdy młodzież w lesie przy blasku księżyca tańczyła ochoczo, w tej urokiem poezyi owianej chwili popełniłem wielkie głupstwo, a popełniłem je dla tego, bom — jakkolwiek nie młody już i zużyty życiem — rozkoszy doznawał, gdy o n a ścisnęła mi rękę i tej rozkoszy, która nawpół jest boleścią....

Później dopiero poznałem, że w samym środku mego szczęścia kolec tkwił w najtajniejszych kątkach ciemnych ócz cień pytającej nieufności.... Powiew zimnego powątpiewania wionął z nich ku mnie.

Niepotrzebuję dodawać, że ona nosiła imię każdej sielankowej bohaterki: imię Anny.

V.

Mniej więcej w rok potem stałem w dzień czerwcowy ot! tam, na wzgórzu. Dołem przejeżdżał powóz z dwoma paniami. Jedna z nich, pąsowo ubrana, chustką poczęła ku mnie wiewać. Odkłoniłem się zdumiony — poznałem ją jednak zaraz po poruszeniu głowy.

W kilka godzin później odebrałem od pastora poblizkiej gminy zaproszenie z dodatkiem, że dobrą znajomą spotkam u niego. Prócz tego był tam jeszcze inny liścik, następującej treści:

„Pamięta pan spotkanie nasze przed dwoma laty na parowcu? Dziś nadszedł dzień obrachunku!

Proszę się tylko nie spóźnić! Tęskniłam za panem i mam Mu do zadania mnóstwo pytań.

Aniela Lindblom.

Siedziałem w otwartem oknie mego pokoju. Pszczoły brzęczały w ogrodzie. Koguty piały wesoło, podnosząc około siebie tumany kurzu, a wierny pies mój ogrzewał się w słońcu.

Zły byłem na Anielę; mogła była nie zakłócać spokoju mego, nie stawać na mej drodze. Niechęć jak pijawka wpiła się w mą duszę. A niechęć powstająca z pragnienia, by zmienić to, co zmienionem być nie może, równa się hydrze, której s t o nowych głów wyrośnie, gdy jej j e d n ę utniemy — równa się robakowi, który żyje mimo przecięcia na dwoje i pająkowi, wydającemu z własnej swej substancyi sieć, w którą usidla cały aparat duszy, którą łowi wszystkie bez celu bujające wspomnienia, aby się krwią ich nasycić.

Zimą spędziłem dni kilka w Kopenhadze. Magnesem przyciągającym był tam karnawał, muzyką i tańcem wabiący do rezydencyi nietylko ładne kobiety, lecz i całą inteligencyę. Ale jakże smutnym był powrót do domu!... Zimno, chłodno, obco mi tu było. Znalazłem

pan z pierwszej lepszej kałuży cisnąć błotem na redaktora „Prawdy“ i innych „pozytywistów warszawskich“. Są u nas znakomitości literackie, które temu tylko bohaterstwu zawdzięczają swoją sławę. To i panu bardzo dobrze zrobi.

Usłuchało wielu tej rady. Ci, którzy zapewniali mnie w listach, że „prędzej sobie palce odgryzą, niż przeciw mnie pisać będą“, których musiałem powstrzymywać, ażeby mi nie całowali rąk, ci wszyscy, — naturalnie zwymyślawszy mnie szeroko otwartemi buziami, — stanowią chlubę konserwatyzmu i zdobyli sobie w nim nawet wysokie rangi. Nie, ja nie tracę nadziei, że ten obóz kiedyś mi się odwdzięczy za zwerbowanie mu dzielnych szermierzy!

Szewc z „Pięknej Heleny“, przerobiony na majora, ciągle wychodzi ze swej świeżej roli i chce obecnym brać miarę na buty. Podobnie, czynią konserwatyści warszawscy. Pamiętają oni, że w sprawach miejscowych trzeba wygwizdywać pewne kuranty i zniesławiać pewne osobistości, ale gdy zaczną mówić o rzeczach i ludziach obcych, zapominają o swym konserwatyzmie i w mundurach majorów okazują się szewcami. Niedawno właśnie zdarzył im się znowu taki fatalny wypadek. Nie wiedzieli oni wcale, że Watykan wszystkie utwory Dumasa wprowadził na listę dzieł zakazanych i surowo zakazał wiernym je czytać. Tymczasem nasi konserwatyści, biedne skopy upieczone à la sarna, nie spostrzegając chmury i nie przeczuwając gromu z pogodnego nieba, złożyli na grobie wyklętego nieboszczyka mnóstwo wieńców za rozmaite cnoty, a między innemi także za wspaniałą naukę moralności. „Przegląd katolicki“ zdrętwiał ze zgrozy. Wprawdzie on często przekonywa się ze smutkiem, że jego owce wydają jakieś niezwykłe ryki, że zamiast kopytek mają pazury, że włażą na wysokie drzewa do barci i uganiają się w powietrzu za gołębiami, słowem, że zdradzają naturę nieowczą, ale żeby śmiały mianować apostołem moralności libertyna, — tego już zanadto! Więc też oburzony pasterz trzasnął biczem nad niesforną trzodą, która w przerażeniu umilkła i przysięgła sobie, już nigdy głośno o Dumasie nie beczeć.

Jakkolwiek położyłem już wiele zasług dla konserwatyzmu warszawskiego, zwłaszcza dając znaczne części jego nieustraszonych zapaśników sposobność do odznaczenia się męztwem i wydobycia z siebie „barwy“, którejby sami przez się nie okazali, służę mu jeszcze jednem noworocznem życzeniem: niech on... skonserwatywnieje, niech sobie — bodaj z Irlandyi lub Tyrolu — sprowadzi ludzi jednolitych, szczerze wierzących, bo te jego wilkołaki liberalno-konserwatywne już nam obmierzły i wreszcie chcielibyśmy doczekać się poważnych i godnych szacunku przeciwników“.

— ski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Cena ziemi.

Parę miesięcy temu podaliśmy czytelnikom „Przeglądu“ wiązankę uwag, dotyczących formowania się cen zbożowych. Zamierzaliśmy w ten sposób rozjaśnić do pewnego stopnia tak jeszcze ciemną, a jednak tak bardzo ważną kwestyę agrarną. Oczywista, nie mogliśmy pomieścić w ciasnych ramach dziennikarskiego artykułu szczegółowej analizy wszystkich pytań, wchodzących w jej zakres. Ograniczyliśmy się więc do naszkicowania tylko naszych poglądów na jeden z najważniejszych jej działów, mianowicie na kwestyę cen rolniczych produktów.

Dzisiaj zamierzamy uzupełnić potroszę ów szkic dawniejszy i zarazem rozjaśnić wątpliwości, na które nie dawał on dostatecznej odpowiedzi, rozwijając dalsze konsekwencye zajętego wtedy przez nas stanowiska, odnoszące się do kwestyi cen ziemi.

Zagadnieniu temu poświęcono całą masę najprzeróżniejszych teoryi. Nie będziem ich tu wszystkich wyliczać. Wspomnimy tylko najważniejsze.

1) Teorya Ricarda głosi, że cena ziemi podlega tym samym prawom, co i ceny wszelkich innych dóbr gospodarczych, a więc kształtuje się pod wpływem dwóch czynników, z których jeden zasadniczy, mianowicie ilość skrystalizowanej pracy, określa wartość gruntów, a drugi t. j. stosunek podaży do popytu reguluje wahania pieniężnego wyrazu tej ostatniej.

2) Wedle Rodbertusa cena ziemi jest skapitalizowaną rentą gruntową, która ma znów swe źródło w różnicy kosztów rolniczej i przemysłowej produkcyi. Gdy bowiem przemysł prócz kapitału zmiennego (kosztów najmu) wymaga jeszcze olbrzymich wydatków na narzędzia i materyały produkcyi, rolnictwo czerpie te ostatnie z własnych swych zasobów. Tymczasem przeciętna cena wytworów określa się w obu wypadkach zawartą w nich pracą. Stosunek więc kosztów produkcyi do otrzymanych zysków jest w rolnictwie znacznie mniejszy niż w przemyśle. A ponieważ konkurencya ustanawia na całym obszarze narodowego gospodarstwa normalną stopę procentową, musi więc owa stała przewyżka rolniczych dochodów przybrać w naszej świadomości formę odrębnej kategoryi ekonomicznej. Zwiemy ją rentą gruntową, przypisując w ten sposób jej pochodzenie władaniu ziemią i przyznając gruntom zdolność stworzenia nowych wartości. Od tej chwili nie można wszakże uznawać i samej ziemi za rzecz bezwartościową, lecz oceniamy ją wedle otrzymywanych z niej korzyści, obliczając jej cenę na zasadzie renty, którą ona przynosi, i normalności stopy procentowej. Gdy n. p. ta ostatnia będzie wynosić 6 proc., a renta będzie się równać 6000 mk., wtedy oszacujemy odpowiednie grunta na 100,000 m.

3) Wiedeńska czyli psychologiczna szkoła rozróżnia dwa rodzaje ekonomicznych dóbr: konsumpcyjnych i produkcyjnych. Wartość pierwszych określa się ich użytecznością i ich rzadkością. Oba te czynniki wpływając wzajemnie na siebie, tworzą w ostatecznym swym rezultacie jednolitą skalę cen. Dobra zaś produkcyjne nie posiadają żadnej bezpośredniej wartości, gdyż ich użyteczność jest również tylko pośrednią. Całe ich gospodarcze znaczenie tkwi wyłącznie w ich pomocniczej roli podczas procesu produkcyi. Cenimy je tylko dla tego, że bez nich nie moglibyśmy posiadać dóbr konsumpcyjnych. Wartość tych ostatnich stanowi też jedyne kryterium ich wartości. W dziedzinie rolnictwa produkcyjnemi dobrami są: praca, narzędzia, budynki i ziemia. Wartość ich równa się sumie wartości wytworzonych przy ich pomocy dóbr konsumpcyjnych. Ponieważ jednak zarówno praca jak narzędzia i budynki wchodzą w skład całej masy innych kombinacyi produkcyjnych dóbr — nie trudno więc określić wartość każdego z nich w szczególności i w ten sposób otrzymać wartość ziemi.

Dwie te ostatnie teorye godzą się na zdanie, że wartość ziemi jest pochodną, że zależy ona każdorazowo od wartości jej płodów. Twierdzeniu temu przyznajemy jak najzupełniejszą słuszność. Jest ono bowiem naukowo tylko sformułowaną prawdą, aż nadto dobrze znaną wszystkim rolnikom, że ze wzrostem lub upadkiem cen zboża podnosi się lub spada cena ziemi. Objaśnienie jednak powyższego faktu brzmi odmiennie u Rodbertusa niż w dziełach wiedeńskich ekonomistów. I musimy przyznać, że żadne z nich nie zadawalnia nas w zupełności. Rodbertusowi bowiem możnaby zarzucić, iż nie wskazał on dostatecznej przyczyny, czemu dążność do przeciętnej, normalnej stopy procentowej, wszechpotężna w dziedzinie handlu i przemysłu — jest bezsilną w obec rolnictwa, co tem mniej jest zrozumiałem, że różnica kosztów rolniczej i przemysłowej produkcyi nie jest większą, niż zachodząca między poszczególnemi gałęziami przemysłu.

---

wszystko brzydkiem i głupiem, znalazłem wszystkich brzydkimi i głupimy, ogołoconymi z poprzedniego uroku. — Długo trwało, zanim mi się otoczenie moje przedstawiło w dawniejszych kształtach i barwach.

Cóż to znaczyło?.... Zresztą prócz tego coś jeszcze napełniało mnie trwogą. W czasie mego narzeczeństwa niejedną przeżyłem chwilę, przykrą ciężką... Siedząc obok Anny zdawało mi się chwilami, że pomiędzy nami stoi niewidzialna dla oka zapora. W takich chwilach zimnym dla niej byłem... tak, jakoby nic nas nie wiązało. Zdawało mi się, że mi nie ufa, że stroni odemnie, że instynktownie lęka się zbliżyć do mnie — jakobym był przedmiotem nieznanej konstrukcyi, który zepsuć się boi. Ile razy nieufne jej spojrzenie na mnie spoczęło, pytałem sumienia, czym jej jakiej nie wyrządził krzywdy.

Było to następnego dnia po obiedzie u pastorów. Jedna z córek zasiadła do fortepianu, druga zabrała moją narzeczoną, podczas gdy ja z panną Anielą cofnąłem się w najodleglejszy kąt salonu. Na polu huczał wicher, deszcz bił o szyby, a rozłożyste gałęzie gruszy gięły się jak trzcina, uderzając z łoskotem o okna pokoju; woda wpadająca do rynny, szumiała, a w salonie mimo rychłej pory, zmrok zapadł. Wszystko to zwiastowało jesień ze słotą i wyciem wiatru, tęskno działającą na usposobienie ludzkie. Zdawało się, że jak dzieci czekamy na jaką bajeczkę.... Panna Aniela usadowiła się wygodnie w rogu kanapy; ubraną była w kolor czerwony — modny w tym roku — lampa oświetlała ją, rzucając na nią rodzaj tęczy, uwydatniającej się najwyraźniej na jej bladej twarzy. Siedząc obok Anieli na krześle, spoglądałem na jej białą, długą rękę, opartą o poręcz kanapy.

— Więc? — spytała Aniela.

— Co?

— Chce się pan wyspowiadać?

— Owszem!

Nachyliła się ku mnie, pytając z powagą:

— Jesteś pan szczęśliwy?

— Tak!

Milczenie zapanowało.... Zobaczyłem, że zasępiły się jej rysy, cofnęła się w głąb kanapy, bawiąc się wstążką.

— Dla czego, tak jak dawniej, s z c z e r y m pan ze mną nie jesteś?...

Co doprowadza panią do mniemania, że nim nie jestem?

Pan cierpi!... Nie ukryje pan tego przedemną, w oczach pana coś dziwnego się błąka — myśl jakaś. Dawniej pomagało panu, gdym mu rękę na skroń kładła.... Czy dla tego, że jesteś narzeczonym, nic uważasz mnie pan za godną zaufania?

Bez dłuższego wahania, opowiedziałem jej wczorajsze spostrzeżenia moje...

— ...A ponieważ dziś panie obie razem widzę, zastanawia mnie istniejąca pomiędzy wami różnica — mniejwięcej jak prosta i wygięta linia. Narzeczona moja, skromna i bez wymagań, jest wpierw wymienioną linią. Taką też jest jej dusza, takiem jest jej usposobienie. Radość objawia się w niej spokojnie, jak promień słońca na pogodnem niebie! Jeżeli cośkolwiek podziw jej obudzi, to wypowie wprawdzie wszystko, co, i jak czuje, ale wypowie w formie zwyczajnej. Nie zadziwi ona nigdy niczem niespodziewanem, niemotywowanem, ani żadnym nagłym zwrotem uczucia. Anna jest obrazem codziennego życia, prędzej samą sobą nie zostanie, dopóki nie zasiędzie przy kolebce swego dziecięcia. Taką też kocham ją.

— Pani przy niej przedstawiła mi się jak zjawisko z dawno minionych czasów. W pani przeciwieństwo zaostrzyło wszystko; stanowi to indywidualność twoją. Myśli pani są ruchliwe jak jej długie smagłe palce, a dusza odmienia się jak mimoza i umie podnieść się tak wysoko, jak wesoła fanfara, czego — a boleśnie to odczuwam — nie zauważyłem nigdy w mojej narzeczonej. Przytem marzy też pani czasami jak a d a g i o,

Teorya Böhm-Baweka, przedstawiciela psychologicznego kierunku jeszcze mniej nadaje się do przyjęcia, przedewszystkiem dla tego, że cały jej rozdział wartości jest z gruntu fałszywy*), a następnie, że logiczna jej konsekwencya doprowadziłaby nas do przyznania ziemi nieograniczenie wielkiej ceny. Jeśli bowiem odliczymy od wartości rocznego plonu najmniejszą choćby jej cząstkę na rachunek gruntu i pomnożymy ją przez ilość lat, na czas których ten ostatni zachował swą produkcyjną rolę, (a nie straci jej aż do końca świata), to otrzymamy nieskończoność. Gdyż $a \times \infty = \infty$.

Sądzimy natomiast, że prawda znajduje się w środku między temi teoryami. „Die Wahrheit ruht in der Mitte"! Zwodnicza to często zasada i nieraz służy ku przykryciu duchowego ubóstwa. W danym wypadku jest ona jednak na miejscu. Choćbyśmy się więc nawet mieli narazić na zarzut niesamodzielnego myślenia, przyznajemy się do niej otwarcie.

Uznajemy więc wraz z Rodbertusem, że cena ziemi jest skapitalizowaną rentą, znajdując potwierdzenie tego w fakcie, że, *ceteris paribus*, stoi ona w prostym stosunku do dochodu netto, a w odwrotnym do *quantum* obrotowego kapitału, potrzebnego dla kultywowania odnośnych gruntów. Tak np. lasy i łąki droższe są u nas od roli, nie dla tego, by więcej od niej rentowały, lecz ponieważ w razie jednakowego dochodu netto wymagają mniejszego nakładu kapitału, niż uprawne pola. Godzim się również na twierdzenie, że renta gruntowa wypływa z różnicy kosztów produkcyi i ich stosunku do dochodu brutto w rolnictwie i w przemyśle. Lecz z drugiej strony sądzimy, że przyczyny, warunkujące ową różnicę, nie są jedynie natury objektywnej, ani nawet czysto gospodarczej.

Ażeby bowiem zrodzona pod wpływem konkurencyi, dążność do ujednostajnienia procentowej stopy tak odmiennemi szła drogami na polu przemysłu i rolnictwa, iż redukując po prostu lub też zwiększając wedle potrzeby ceny produktów w pierwszym wypadku, w drugim ucieka się do skomplikowanego wybiegu i tworzy nowe ekonomiczne pojęcie — renty gruntowej, której oddaje część dochodu przewyższającą normalny procent — na to wszystko trzeba było już głębokiej, zasadniczej różnicy między produkcyą rolną a przemysłową. I różnicę tę wykazuje nam cała dotychczasowa historya gospodarki europejskich narodów. Gdy bowiem przemysł już na najpierwszych stopniach swego rozwoju oparł się na pieniężno-handlowej podstawie, rolnictwo przez cały niemal czas starożytnej historyi znajdowało się w stadyum gospodarki naturalnej, a przez przeciąg średnich wieków następnie, aż niemal do połowy naszego stulecia, zajmowało pośrednie stanowisko między naturalną a pieniężną ekonomiką. Ważniejszym jeszcze był fakt, że gdy przemysłem mógł się zajmować każdy, posiadający odpowiednie zdolności i gotówkę, rolnikiem mógł być tylko ten, co posiadł ziemię (mniejsza z tem, czy w zupełne, czy też lenne władanie) a ziemia została z dawien dawna przywłaszczoną przez określoną liczbę uprzywilejowanych. Prywatne władanie ziemią zrodziło jej wartość. Zyskała ją ona w ten sam sposób, w jaki zdobywają ją sobie dziś koncesye na zakładanie aptek w Niemczech lub cukrowni w Rosyi. Nie wytwarzają one nowych wartości, ani też same nie są wytworem pracy, a jednak posiadają swą wartość. Tak samo dzieje się z ziemią. Oszacowujemy ją, bo jest ona koniecznym warunkiem jednej z wielu gałęzi produkcyjnej i rentującej się pracy. Brak jej wszakżeż wewnętrznego, w niej samej zawartego punktu wyjścia tej oceny; nie posiada bowiem bezpośredniej wartości, nie będąc ani wytworem pracy, ani też przedmiotem użytku. Musimy więc szukać kryteryum oceny po za nią, a mianowicie w dochodzie, który nam daje praca na roli. Potrącamy zeń pewną część jako procent od obiegowego kapitału, a resztę kapitalizujemy wedle normalnej w danym kraju i czasie stopy i zwiemy tę sumę ceną gruntu. Taką jest geneza cen ziemi. Zrozumiawszy ją, możemy śmiało zawyrokować, iż jedyną możliwą w dzisiejszym społeczeństwie formułą cen ziemi jest dynamiczne prawo ich stosunku do renty gruntowej.

Str.

*) Krytyka jej zajęłaby tu zbyt wiele miejsca. Odsyłam więc ciekawszych czytelników do obszerniejszych mych rozpraw: 1) Ateneum. 1894. Historya teoryj wartości i 2) Deutsche Worte. 1895. Böhm-Bawek als Kritiker Marx.

LITERATURA I SZTUKA.

Akordy jesienne.

I.

Wiatr w pożółkłych huczy drzewach — niebo pełne czarnych chmur,
A z ich kłębów kotłujących księżycowy martwy blask
Spłynie czasem ponad ziemię, co spoczywa niby twór,
Ulepiony z mgieł i błota, od promiennych zdala łask.

* * *

Nieodrodne dziecko ziemi, jej słabości niby wzór,
Sam się wlokę, jak ów rycerz, gdy mu wzięto tarcz i kask
W jakimś strasznym, ciężkim boju — lub jak ptak, odarty z piór,
Tak się wlokę, ogłuszony, w tej wichury szum i trzask.

* * *

Ktoś mi szepce — widać jakiś odrętwieniu wrogi duch —
Że ta ziemia pierś podnosi i że jęczy na swój los —
Nic nie widzę! — nic nie słyszę! na to-m stracił wzrok i słuch,

* * *

Tylko zmilknie wichr na chwilę, księżyc chmur rozpędzi tłok,
Wówczas jakbym pierś tę widział i rzerzący słyszał głos —
I przeklinam wichr i księżyc, żem miał znowu słuch i wzrok.

II.

Cóż, że jestem dziś samotny, jak smagany wichrem głóg?
Cóż, że barwną swą koronę pośród zimnych tracę burz?
Wszak naturze, matce wielkiej, zaciągniętym spłacił dług —
I jam z pola wszak nie schodził, jak leniwiec albo tchórz,

* * *

Niech mi syczy głos zawistny: więdniejące liście złóż!
Niech odpycha mnie od siebie znikczemniałe plemię sług!
I jam rzucił plonne ziarna, z których wzrosną pęki zbóż!

---

porówno z moją duszą. Ja się odmieniam jak Kameleon, ale i pani także....

Ty jesteś blizką mojemu sercu, ale do ciebie nie jest przywiązane to samo j a, które kocha prostą linię i te ciemne rozumne oczy i widok matki, dziecka, kołyski. Jestem samym sobą, a jednak jestem innym — — —

Podano wino — pastorówna wstała od fortepianu i zbliżyła się do nas; przerwaliśmy rozmowę.

Gdyśmy późnym wieczorem zabierali się do powrotu, słyszałem jak panna Aniela odezwała się do mojej narzeczonej:

Nieprawdaż: zaprzyjaźnimy się serdecznie i często widywać się będziemy?

Nie zrozumiałem odpowiedzi Anny, lecz czułem, że miała owe odpychające zimno w wejrzeniu, które zawsze w nim leży, gdy komu nie ufa; — wyraz ten tak na mnie działa, jakby ktoś ująć nie chciał dłoni mojej, serdecznie ku niemu wyciągniętej.

VI.

Nieprzyjazne uczucia narzeczonej mojej żywione dla Anieli, odnosiły się do dawnej przyjaźni naszej, wiedząc, że panna Lindblom posiada wpływ na mnie, bała się jej współzawodnictwa. Prócz tego był tam jeszcze drugi powód i tento dopiero dodawał niechęci kolcy, goryczy smutku gorzkiego. Był to wstręt jednej klasy ludzkości w obec drugiej: nieprzyjaźń instynktowna, podła, niewolnicza na polu spółczesnem i duchowem niżej postawionego, skierowana ku wszystkiemu co wyżej stoi. Annie zdawało się, że Aniela z wszystkiego, co ona robiła, lub mówiła, naśmiewać się musi: upokarzające uczucie, jakiego doznawała, raniło jej duszę — w szczerej swobodzie tamtej nie upatrywała nic więcej prócz kokieteryi, mieszczącej w sobie brak szacunku dla niej.

Aniela z swej strony była zupełnie bezradną w obec tej córy wieśniaczej. Ona — której rozum do takich wzniósł się wyżyn — traciła go tutaj zupełnie, i to ją gniewało. Pojęła, że pomiędzy niemi przepaść się otwiera, a nie czując się winną, całą winę przypisywała tamtej. Widząc wszystkie starania swoje, by zbliżyć się do Anny, bezowocnemi, trzęsła się z uburzenia na chłód narzeczonej mojej.

A ja sam: — jam stał w środku pomiędzy temi dwoma przeciwieństwami. Położenie moje pogarszało się codziennie. Jednakowoż nie w t e m leżało moje fatum, przeciwieństwa leżące p o z a mną, istniały i we mnie. W mojej duszy toczyła się ta sama walka przeciwieństw, — toczyła się jeszcze krwawiej, rozdzierającej, bezlitośnie.

Nie byłem dłużej panem położenia. Byłem rozpołowiony. Jedno moje jestestwo kochało prostą linię — drugie wygiętą. Nieraz, gdy nawał czułości przyciągał mnie do narzeczonej, otoczył mnie nagle przypływ z przeciwnej strony, doprowadzał do zastanowienia i w połowie drogi zmuszał powrócić do domu. Wreszcie zdarzało się, że nieraz w obecności dwóch tych kobiet źle mi było.... że mi się zdawało, jakoby mnie darto w dwie części, — jak owych nieszczęśliwych z czasów barbarzyńskich, których wiązano między dwa konie, w dwóch przeciwnych pędzone kierunkach. Dwie te kobiety równały się magnesom, w których się nagromadziły zapasy sił dwóch przeciwnych klas społeczeństwa; w moim jestestwie znajdowały się im pokrewne żywioły i przyciągały je do siebie.

(Dokończenie nastąpi).

By wzbogacić człowieczeństwa ten otwarty, wielki [bróg!

* * *

Szalej, wichrze! zrywaj liście! mieć śnieżycą! dżdżami [pluj:
Siecz po skroni! włos rozwiewaj! aż do ziemi krzyże [gnij!
Płaszcz potargaj na łachmany, z rąk podróżny wy- [trąć kij!

* * *

Mogę stanąć, jak wylękły, mogę jęknąć na ten znój,
Mogę skrzepłą krwią rozpaczy o niebieski rzucić skłon,
Lecz tej dumy mi nie wydrze twój, szalony wichrze, gon!

III.

Pełzam nieraz, jak gadzina, śród bagnistych skryta łąk,
Jak potulne bydlę w jarzmie, tak swój twardy zgi- [nam kark
Nie śmiem wichrom spojrzeć w oczy, nie śmiem [wznieść ku chmurze rąk
I światłości niszczycielce cisnąć groźby z spiekłych [warg.

* * *

Nieraz patrząc, jak o skarby, które pośród krwawych [mąk
Zdobył wielki duch ludzkości, tłum szachrajski wie- [dzie targ,
Ledwie wzgardę mam na ustach, ledwie słowo, go- [dne ksiąg
Zniewieściałych trubadurów, ledwie łzawe krople skarg.

* * *

Nieraz — duszo nie kłam sobie! tych złowróżbnych [słuchaj tchnień,
Wiatr jesienny ci urąga! Do swej dawnej mocy wróć —
Nie wystarczy, coś posiała za ubiegłych, wiernych lat...

* * *

Zwiędnij, duszo! lub łzy swoje na płomienne gromy [zmień,
Skargi przemień w błyskawice i z wyżyny swojej rzuć
W to roisko karlich płazów, plugawiących boży świat.

Jan Kasprowicz.



Ostatnia powieść
Jeske-Choińskiego.

(Gasnące słońce. Powieść z czasów Marka Aureliusza).

Półtora roku temu mniejwięcej, kiedy Sienkiewicz przystąpił do opracowania „Quo vadis", wygłosiły pisma warszawskie zdziwionemu światu, że pan Teodor Jeske-Choiński, autor wielu studyów, powieści i dramatów, postanowił z twórcą „Bez dogmatu" wystąpić do walki o palmę pierwszeństwa i przygotowuje do druku również powieść z pierwszych czasów chrześcijaństwa. W poważnych kołach literackich przyjęto tę zapowiedź obojętnie; za to obudziła ona wśród czytającej publiczności wielkie zaciekawienie. Zaczęto sobie opowiadać, że pan Choiński gruntownie studyuje Rzym Cezarów, że bawił podobno nawet k i l k a dni w stolicy świata, zwiedzał katakomby i wszystkie stare budowle, zbadał rozkład ulic, że nagromadził mnóstwo materyałów, a powieść jego zaciemni wszystko, co dotąd wydała literatura. Mimo tak rozległych i gruntownych studyów, przygotowania nie trwały długo i niebawem ukazało się w odcinku „Kuryera warszawskiego" zapowiedziane arcydzieło: „Gasnące słońce. Powieść z czasów Marka Aureliusza" i oto treść jego:

Do zwyrodniałej, grzęznącej w podłości i rozkoszy zmysłowej stolicy Cezarów, przybywa z kresów północnych przywódzca legionów, potomek jednej z najstarszych rodzin rzymskich, Publiusz Quintiliusz Warus, świetny wojownik, nieprzyjaciel zniewieściałości i zepsucia, wielbiciel bogów i cnót, które Rzym wyniosły na stanowisko królowej świata, mąż bez skazy, wierna odbitka Katona. Przybywa do stolicy, aby po krewnym Marku objąć krzesło konsulskie i wypocząć po trudach wojennych.

Ow krewny Marek jest żywem przeciwieństwem Publiusza, ucieleśnieniem zniewieściałego Rzymu, gardzącego cnotami przodków. Zepsuty filozofią grecką i otoczeniem, bluźni on bogom i naigrawa się z ich niemocy, noce całe spędza w złem towarzystwie wyuzdanych przyjaciół, heter i tancerek; Kochanek setek matron rzymskich, wyzwolenic i niewolnic, nie zna niczego prócz zabawy i rozkoszy. Ale rozkosze zaczynają go nudzić, bo przekosztował już wszystkie, a z ogromnej fortuny pozostały mu tylko zbiory dzieł sztuki, nagromadzone w pałacu, i nieprzeliczone długi. Widząc ostatki przed sobą, postanawia Marek ożenić się bogato i ubiega się o rękę córki Fabiusza, byłego adwokata, który w krajach pogranicznych germańskich zdzierstwem i rozbojem niesłychane nagromadził skarby. Za nabyte hańbą miliony, sprzedaje potomek królów albańskich dumne nazwisko przodków, a napomnienia Publiusza jak groch odbijają się od zwyrodniałej jego duszy.

W podobnem zupełnie położeniu znajduje się daleka krewna Kwintiliuszów, serdeczna przyjaciółka Marka, dzieląca we wszystkiem jego zapatrywania i upodobania, ale dbała o honor domu, Tullia Kornelia, czarująca, lecz pozbawiona wszelkich podstaw moralnych, młoda wdowa po starym prokonsulu. Marek radzi jej, poratować swe stanowisko przez małżeństwo z Publiuszem, a piękna wdówka przyjmuje z wdzięcznością radę przyjaciela, a znając zapatrywania wojownika, prawość jego i przywiązanie do starych zwyczajów, przybiera maskę poczciwej matrony, udaje wiarę w zapomniane i wzgardzone bogi, wyrzeka się nawet rozpustnego towarzystwa i ulubionych widowisk publicznych. Ale zabiegi były daremne. Publiusz domyślił się obłudy kuzynki, a całem sercem przywiązał się do mieszkającej z nią w jednym pałacu synowicy Mucyi, dziewczyny poważnej, rzecz dziwna — niezepsutej przez nauczycieli i otoczenie, jedynej czystej istoty w rozhulanym i zbydlęconym Rzymie. Jak ten cud sobie wytłomaczyć, mniejsza o to. Dość, że Mucya jest ideałem dziewicy. Cicha, pracowita, pobożna, litościwa i miłosierna, mogłaby za wzór służyć po wszystkie czasy.

Świetny i poważny wojownik — „pośród potworów tysiąca, jedyna dusza czująca" — zdobywa, rozumie się, jej serce; ale z nie-

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Pozbawiony towarzystwa Smolarz przeniósł się do przedpokoju i ztamtąd przez rozwarte drzwi przyglądał się cały czas wirującym parom.

Podczas przerwy mężczyźni wybiegli do przedpokoju na papierosy.

Do Smolarza zbliżył się Dyniecki, zapalił cygaro od jego papierosa i rzekł, patrząc przez drzwi do wnętrza sali.

— Piękne masz pan kobiety w domu, jak Boga kocham.

— No, cóż.

— Ta Lola chwacka sobie dziewczyna, mama Borajska także niczego kobietka, a ta trzecia, jak się tam nazywa, ta... czarniutka, może nawet ładniejsza od tamtych. Taż tu panie można żyć jak Mahomet w siódmem niebie.

— Hm.

— W jakim ona pokrewieństwie z Borajskimi.

— Anulka, myśli pan?

— Ta czarniuśka, co tam siedzi pod lustrem; nie wiem, jak jej na imię.

— Tak, Anulka. Ona nie jest żadną krewną państwa Borajskich.

— A dla czego mieszka u nich?

— To moja siostra, panie. Nie mamy rodziców więc... ona tu jest zemną.

— A, tak.... to pańska siostra?... No proszę nic nie wiedziałem. Ładną masz pan siostrę.

— Hm — uśmiechnął się Smolarz i ruszył ramionami.

Dyniecki odrzucił niedbale cygaro za siebie na środek izdebki, między palących, splunął bez ceremonii w kąt i wszedł na salę. Tutaj odrazu z przesadnie niedbałego, umyślnie cynicznego w ruchach, słowie i spojrzeniu, zmienił się w obec kobiet w eleganta pierwszej wody.

Przysiadł się do Loli.

— Panie Dyniecki — przemówiła z pewnym pospiechem, promieniająca radością dziewczyna — zaraz będzie kolacya. Gdyby mama chciała posadzić pana wyżej przy stole, to niech się pan wyprosi i usiądzie niżej, obok Anulki.

— Dlaczego pani?

— Dla tego bo... bo ja będę musiała być mamie pomocną, a więc do stołu siadać nie mogę. Ale obok Anulki będzie wolne krzesło, przeznaczone dla mnie i dla matki na przemiany. Pan takie piękne rzeczy opowiadałeś mi w tańcu o Krakowie, że chciałabym jeszcze dalej słuchać...

— Życzenie pani jest dla mnie rozkazem — odrzekł Dyniecki, uśmiechając się i patrząc jej przenikliwie w oczy. — Lola spuściła wzrok na splecione ręce.

Pani Borajska ze wspaniałą wystąpiła kolacyą: Była tam pieczeń z dzikim sosem i włoskim makaronem, gęś pieczona z kompotami, szczupak na simno, słodka legomina z konfiturami, ciasteczka, cukierki, pomadki, pomarańcze, rodzynki, zagraniczne jabłka, dalej napitki, szwechackie piwo, dobre stare wino, słodkie wódki, owocowe nalewki it. d. Żona radnego miasta, właściciela dwóch domów murowanych i sławnej na całą okolicę pracowni ślusarskiej, mogła pozwolić sobie na różnego rodzaju zbytki.

Podczas kolacyi siedział Dyniecki obok Anulki i żartował z nią wesoło. Kręcił gałki z chleba, układał z nich różne osobliwe zagadki, dopomagał w ich rozwiązywaniu, wypytywał się czem się w domu zajmuje, jak się jej w szkole wydziałowej powodzi, groził nawet, że pójdzie dowiedzieć się u pana dyrektora o jej zachowaniu i postępach w nauce. Po każdej zmianie półmisków przysiadała się do nich Lola i rozmawiała żywo z widocznym pospiechem, aby jak najwięcej wygadać się i nasłuchać, nim ją pani Borajska z krzesła usunie. Usuwanie to odbywało się dość często, bo i pani Marcysia miała nadobnemu młodzieńcowi również wiele do powiedzenia. Nie podobało się to wreszcie Loli, więc przy czwartej zmianie zauważyła, „że jest zmęczona i że chciałaby już raz trochę posiedzieć". Jakiś niewyraźny syk i zjadliwe spojrzenie pani Borajskiej były odpowiedzią na tę uwagę.

nawistną zazdrością spogląda na synowicę Tullia, która odgrywając swoją komedyę, ne seryo zakochała się w Publiuszu. Nienawiść rzymianki nie przebiera w środkach. Tullia postanawia zgładzić Mucyę pod każdym warunkiem i znajduje w krótce środek stosowny.

Ujęta litością, odkupiła Mucya od stryjnej katowaną za małe przewinienie nielitościwie niewolnicę — chrześcijankę i zachęcona jej opowiadaniami udaje się z nią na wspólne miejsce modlitwy i nawraca się od razu, pomimo że odpycha ją — namiętną patryotkę rzymską — wyznanie nie uznające stosunków rzymskich, rzymskiego porządku państwowego, zagrażające zniszczeniem ojczyźnie. Tullia dowiaduje się o wszystkiem przez swego szpiega i postanawia wydać synowicę w ręce sprawiedliwości, stawić ją przed sąd ukochanego Publiusza, który w tych dniach właśnie objął krzesło konsulskie. Według praw panujących zaś musiał pretor na chrześcian wydawać wyrok śmierci.

Równocześnie prawie z Publiuszem przybywa do Rzymu serdeczny jego przyjaciel, Germanin w służbie rzymskiej, Serwiusz, prefekt legionów na północnych kresach państwa, aby odszukać narzeczoną, Tusneldę, porwaną przez nieznanych ludzi i sprzedaną prawdopodobnie w stolicy. Dowiaduje się, że porwał ją Fabiusz, teść Marka, ale nim zdołał ją uwolnić, Tusnelda uciekła z lochów za pomocą pasztetnika-chrześcianina, schroniła się do katakomb i została chrześcianką. Przy obławie, urządzonej przez władze, za wskazówką Tullii, narzeczona Publiusza i Tusnelda dostają się w ręce pretoryanów.

Wiadomość ta jak grom spada na nowego pretora i jego przyjaciela. Chrześcian schwytanych czekała śmierć, jako zdrajców stanu, podkopujących porządek państwowy rzymskiego świata, a wyrok śmierci miał wydać nietylko na ukochaną dziewicę, lecz i narzeczoną przyjaciela Publiusza. Namowy, aby Mucya dla pozoru chociażby tylko wyparła się Boga chrześcian, pozostają bez skutku i wyrok śmierci zapada. Dumny Serwiusz rzucił się w rozpaczy pod nogi Cezara, miłosiernego filozofa, ale Marek Aureliusz nie zniósł okrutnego wyroku. Szalony z bólu Germanin odbija przemocą prowadzone na stracenie dziewice, chroni się z niemi do ojczystych lasów, a Romie przysięga zemstę krwawą. Poznał podłość jej i słabość, i nie wątpił, że własnemi jej środkami, armią wyćwiczoną na wzór legionów, zdepce ją i zgładzi ze świata.

Przygotowawszy i wyćwiczywszy ogromne wojsko, rzuca się na kraje pograniczne, rozbija w puch legion wysłanego przez cezara przeciw najazdowi Publiusza i na czele nieprzeliczonych hufców dociera do Akwilei. Zadrzał Rzym i zachwiał się w swych posadach, ale wysłańcom Cezara udało się skłonić króla Markomannów do zawarcia przymierza i Serwiusz, opuszczony przez sprzymierzeńców, cofnął się za Dunaj.

W roku przyszłym nowe hufce Germanów wpadają w ziemie cesarstwa. Marek Aureliusz sam stanął na czele legionów, a gdy stracił głowę, Publiusz, oszczędzony przez Serwiusza w zeszłorocznej bitwie, obejmuje komendę. Armeńczycy, wyznający Chrystusa, i burza cudowna zapewniają zwycięstwo Orłom rzymskim. Serwiusz, zraniony, każe dobić się niewolnikowi, aby nie dostać się do niewoli imperatora. Pada w bitwie także Mucya; uciekłszy z opieki Germanów, znalazła ona przed rokiem Publiusza rannego na polu bitwy, a następnie przebrana w męzkie szaty, zajmowała się leczeniem rannych w bitwach z Germanami. W walce ostatniej dosięgnął ją pocisk śmiertelny.

Na końcu drugiego tomu tłomaczy się autor przed czytelnikiem, dla czego wiele technicznych słów specyalnie rzymskich, zastąpił polskiemi, pisał „droga“, a nie „via“, „brama“ a nie „porta“ itd. Niestety, zapomniał wytłomaczyć, dla czego także ducha rzymskiego zastąpił nowoczesnym. Byłoby to, bodaj więcej na miejscu.

Na powieści jego ciąży klątwa, ścigająca niemiłosiernie lekkomyślne przedsięwzięcia i płytkie umysły. Nie dość wybrać za przedmiot opowiadania Rzymu Cezarów, nakreślić kilka charakterów i nadać im rzymskie nazwiska, nie dość opisać stroje pań i panów rzymskich, uczty cezarów, igrzyska publiczne i odarte tłumy wołające chleba i igrzysk. Nie nazwy i opisy zwyczajów stanowią o dobroci powieści historycznej — wszystkiego tego lepiej się dowiemy w pierwszym lepszym podręczniku — lecz o to chodzi, aby powieść była wiernem odbiciem opisywanych czasów i ludzi, aby autor wmyślił się w położenie i stosunki, przejął się duchem czasu i świata, którego obraz roztacza przed oczyma czytelników. Tego warunku Jeske-Choiński niedopełnił; — ludzie jego powieści ubrani są w maski rzymskie, ale myślą jak śmiertelnicy dzisiajsi najświeższego stempla.

Rzym cezarów zepsuty był do gruntu, nie znał cnót dawnych domowych i rycerskich, zniewieściał i spodlił się, ale pozostał zawsze mimo pokrewieństwa z naszym f i n d e s i è c l e'm, rzymskim i nie stracił jemu samemu tylko właściwych a tak wybitnych znamion.

Nie stracił przedewszystkiem wewnętrznego spokoju i powagi zewnętrznej, wrodzonej i wychowanej a spotęgowanej poczuciem siły. Spokój ten i pewna równowaga zewnętrzna, przejawia się w języku i sposobie wyrażenia; że zaś można ją uwydatnić, a równocześnie pisać prześlicznie po polsku, dowiódł Sienkiewicz w Antei i „Quo vadis“. Tak roztrzepanym językiem jak Marek Kwintiliusz, Luciusz Werus i tylu a tylu innych, tak rozwlekłym jak Serwiusz lub Lucyan, przemawiają chyba dekadenci i krytycy ich nad Sekwaną lub Wisłą.

Nie zrozumiawszy dostatecznie natury rzymskiej, nie mógł też autor oddać jej należycie. Stąd też charaktery jego dziwnie rażą czytelnika żądającego prawdy, mianowicie cała postać wyidealizowanej do niemożliwości Mucyi, narzeczonej Publiusza. Gdyby autor nadał był jej chrześciańskie imię i umieścił na tle chrześciańskiego życia, mógłby być zadowolonym ze swego dzieła. W Rzymie cezarów jest ona niezrozumiałą. Poganka, wychowana pośród wyuzdanego do ostatnich granic społeczeństwa, widząca od lat dziecięcych nierząd wokoło siebie, w mieście i domu Kornelii, słysząca tylko naigrawania z bogów, w mieście gladyatorów i krwawych igrzysk publi-

---

Kolacya trwała do północy. Po mnogich a długich toastach, na zdrowie i powodzenie wszystkich rodzin obecnych przy wieczerzy, na zdrowie i powodzenie ich rodziców, ich krewnych, powinowatych i sąsiadów, przeszli goście do bawialnego pokoju, gdzie rozpoczęły się tańce na nowo. Dopiero nad ranem, gdy już znużenie poczęło starszych ogarniać, młodzież, mimo widocznej niechęci musiała kapitulować.

Mistrz Storch, któremu Borajski na wniosek Ranieckiego i innych poważnych sąsiadów szepnął coś na ucho, zabębnił na fortepianie marsza pożegnalnego i powstał z krzesła.

Był to znak, że zabawa skończona.

W ślad za tem gościnny dom państwa Borajskich począł się wyludniać. Kobiety otulone w chustki żegnały się w przedpokoju, ojcowie brali na ręce rozespane dzieci; jedna rodzina znikała po drugiej i wkrótce potem mieszkanie, wyglądające jak łan podolski po tatarskim najeździe, wyludniło się zupełnie.

Pani Borajska zajęła się jeszcze porządkami, dziewczęta zaś poszły spać do czwartego pokoju.

Ale sen, po takiej zabawie, po tylu różnorodnych wrażeniach odniesionych w tak krótkim czasie, w kilku zaledwie godzinach, nie prędko ima się powiek.

Lola mimo widocznego zmęczenia o spaniu nie myślała.

Była ona dziwnie wzruszona, rozstrojona, rozmarzona. Zamiast rozplatać złoty warkocz, zamyśliła się i podeszła do okna.

Tam na dworze świecił księżyc. Kąpał swe promienie w śniegu i od jego oślepiającej bladości sam wysrebrzał. Olbrzymi, jakby z papieru wycięty, nadzwyczajnie jasny, miał w sobie coś zwodniczego, omamiającego, coś ze spojrzenia bazyliszka.

Rozmawiał w tej chwili z osób setkami, co słały ku niemu przeróżne myśli, brzemienne w skargi, żale, smutki lub wesele i ukojenie.

I Lola wytężyła ku niemu wzrok, który leciał i leciał zda się bez końca, aż ugrzązł na skalistych, martwych, poszarpanych wzgórzach, które do koronkowej roboty z litego srebra były podobne. Pod wpływem czarodziejskich promieni oczy jej codzienne, zwyczajne, zwolna się przemieniały: zwarły się, zmiękły, zaszły mgłą rozrzewnienia.

I rozpoczęła się między nią a starym zwodzicielem, zimnym powiernikiem myśli dziewczęcych cicha rozmowa.

— Może ty kochasz dlatego — pytał on podstępnie, że pragniesz posiąść jego majątek?

— Nie!... on taki śliczny! — odpowiada Lola z westchnieniem.

— Może chcesz mieszkać w domu jego rodziców, gdzie na niczem ci zbywać nie będzie? Ze będziesz miała salony, sług mnogo, piękne stroje i konie do wyjazdu?

— Nie!... on taki śliczny!

— A może ty Lolu kochasz go dla tego, że będzie on kiedyś doktorem, że przez ń wyjdziesz z tej sfery gdzieś się urodziła i poznasz świat inny, wyższy, którego dziś jeszcze nie znasz, a który jest właśnie przez to, że go nie znasz, dla ciebie tem ponętniejszy?

— Nie!... on taki śliczny!

— A może ty go nie kochasz i tylko tak się tobie wydaje, żebyś bez niego żyć na ziemi nie mogła?

Na to odpowiada Lola z całego serca, z głębi swej duszy, odpowiada każdą falą krwi co jej do skroni bucha, każdem drgnieniem powieki i łzami dwiema, które z pod powiek się wydostały i lśnią się niby brylanty w świetle księżyca i splecionemi kurczowo przed sobą rękami, odpowiada:

— Ach!... on taki śliczny!...

Anulka, która się dotąd jak mysz z kąta w kąt snuła po pokoju, składając sukienki, ścieląc łóżka, mówiąc pacierze, podeszła teraz do Loli i zapytała z cicha:

— Czemu się nie rozbierasz Lolu:

Lola pociągnęła ją ku sobie, zarzuciła jej ramiona na szyję zwiesiła głowę i wyszeptała zmienionym głosem:

— Anulka... jakże mi słabo.

— Możeś ty chora?

— Nie, nie. Już nic.

— Więc ty go może naprawdę pokochałaś?

— Ach, tak, ja go kocham naprawdę.

— Bójże się Boga, tylko nie mów nic pani o tem, bo... byłoby nieszczęście.

Wspomnienie o „pani“, przywiodło my-

cznych, posiada serce czyste i litościwe, jak nasza parafianka, czystą jest i skromną jak westalka z czasów rzeczypospolitej, a pobożną jak zakonnica. Z nieprzebranego kału otoczenia żaden pyłek nie przylgnął do jej duszy. Cud to nie do wytłomaczenia. Równie nieprawdopodobnie — z rzymskiego punktu widzenia — przedstawiają się wszystkie inne postacie Jeske-Choińskiego. Najwięcej stosunkowo jeszcze zbliżają się do rzeczywistości postacie Publiusza i Serwiusza, chociaż rażą zbytniem idealizmem.

Nie obliczył sił swoich Jeske-Choiński, zabierając się do skreślenia obrazu stosunków rzymskich. I większym od niego nie zawsze się udało wsłuchać się w tętno rzymskiego życia, uprzytomnić sobie charakterystyczne jego znamiona, przedstawić je zgodnie z rzeczywistością.

Ale i pod względem czysto technicznym nie należy „Gasnące słońce“ bynajmniej do arcydzieł literackich. Mógł był Jeske-Choiński wiedzieć o tem, że powieść historyczna jest epopeją w prozie, że powinna być prostem opowiadaniem, rozwijającem się własną siłą, objektywnem przedstawieniem wypadków, które same za siebie mówić i same charakteryzować się mają. Osobistość autora, należącego do innych zupełnie czasów, przemawiającego w myśl nowych pojęć do niej nie należy, bo odbiera jej nieodzowną jednolitość i zaciera charakterystyczne cechy czasu.

Ale pan Choiński nie jest powieściopisarzem lecz rezonerem. Nie zna on tak dokładnie stosunków a mianowicie natury rzymskiej, aby umiał przedstawić je podchwytnie; z drugiej zaś strony nie chciał pozostawić czytelnikowi samodzielnego sądu o Rzymie cezarów. Pragnął on wykazać całą nędzotę moralną i fizyczną władczyni świata, niższość pogańskiego społeczeństwa od chrześcianizmu i dowieść, że przyczyną upadku był brak wiary w Boga, nieuszanowanie dla religii. To też nie dość mu było, wkładać swoim bohaterom w usta zdania i pojęcia, o jakich się nie śniło starożytnemu światu, uwagi krytyczne, jakie na myśl mogą przyjść tylko człowiekowi spoglądającemu z góry na czasy cezarów, jak na czasy minione, ale nie odmówił sobie też przyjemności, krytykowania stosunków na własną rękę wplatania do powieści długich rozumowań, objaśnień i uwag, które nie mogą się nawet poszczycić zaletą oryginalności. Wieczne to rezenowanie, wtrącanie pogardliwych określeń władców starożytnego świata, przypominające na każdym niemal kroku niepotrzebną wcale w powieści osobę autora, nietylko nadaje całemu obrazowi za żywy koloryt, ale co gorsza jeszcze, rozrywa akcyą i odbiera powieści — mianowicie w I. tomie — pożądaną jednolitość. Tom ten pierwszy, zawierający charakterystykę ludzi i stosunków rzymskich, jest zupełnie chybiony. W tomie drugim natomiast znachodzą się całe rozdziały wcale nie złe, mianowicie te, które zawierają opisy przygotowania do wojny, i przedstawienie bitew. Przebija się w nich jakby echo znanej powieści Dahna z czasów walczącego Rzymu: „Der Kampf um Rom“.

Nie możemy skończyć niniejszej oceny, nie porównawszy chociażby zupełnie pobieżnie tylko „Gasnącego słońca“ z powieścią Sienkiewicza. Rzym cezarów jest i pozostanie po wszystkie czasy epoką przyciągającą magicznie ludzkie umysły i ulubionym tematem powieści. Zawiera on wszystko, czego tylko życzyć sobie może wyobraźnia pisarza: tragiczną zgrozę walącego się państwa i upadającej cywilizacyi, przepych niezrównany a obok niego nędzę nieopisaną, obraz rozhukanych namiętności, żądz nienasyconych i znudzenia rozkoszą, zgrozy gwałtu, brutalności, nienawiści i okrucieństwa, a obok tego cichą pokorę, bierne cierpienia i zapał prześladowanych chrześcian. Przedewszystkiem zaś jest on epoką przejściową, jakich mało liczy historya świata, epoką, w której dokonała się najradykalniejsza w dziejach ludzkości rewolucya, powolna zmiana poglądów pogańskich na wręcz przeciwne chrześciańskie. Ta obfitość diametralnych przeciwieństw, borykanie się jednej potęgi moralnej z drugą i towarzyszące tej walce łamanie się charakterów stanowi równocześnie największą trudność dla pisarza, podejmującego się opisu tych czasów.

Henryk Sienkiewicz obrał sobie w „Quo vadis“ za zadanie przedstawić właśnie tę walkę pogańskiego świata z budzącym się chrześcianizmem. Nauczył się patrzeć na Rzym oczami Rzymianina, przemawiać językiem Rzymian i myśleć po rzymsku; spokojnem, beznamiętnem piórem, nie oglądając się na nikogo, nie troszcząc się o żadne względy, kreśli on na białej karcie postacie z czasów Nerona, każe im myśleć, mówić i działać. Nie opisuje, nie tłomaczy stosunków, jak Jeske-Choiński; skreślone przezeń charaktery swojem własnem postępowaniem rzucają właściwe światło na społeczeństwo po za niemi stojące — i na białej karcie zarysowuje się samo przez się, tło ponure życia i ludzi,

W pośrodku obrazu stawia autor młodego patrycyusza, nie różniącego się w niczem od swego otoczenia, poganina nie wierzącego w bogów, zamiłowanego w pięknie i rozkoszy. I Vinicius zakochuje się w zakładniczce lygijskiej z królewskiego rodu, chrześciance. Pragnie ją pozyskać na kochankę, niewolnicę i gwałtownie, jak każdy inny z współczesnych, dąży do celu. Ale napotyka na opór; od pożądanej kobiety dzieli go przepaść zapatrywań i poglądów etycznych. Trudności i niezaspokojona żądza potęgują namiętność jego. Odnajduje ją przez swego szpiega, aby ją porwać przemocą i unieść do domu, ale pada pod ciosem herkulesowego jej obrońcy, prześladował Lygię i chciał gwałt jej zadać, a dostawszy się w ręce chrześcian, sądził, że odpłacą mu gwałtem za gwałt, nienawiścią za nienawiść; spodziewał się śmierci, a znalazł miłość i przebaczenie. Tego poganin pojąć nie potrafi; miłość chrześciańska, przechodząca granice jego pojęcia, obala dotychczasową równowagę duszy rzymskiej. Zarysował się w sercu jego niewzruszony dotąd gmach wyobrażeń i poglądów na świat, a przez rozwarte szczeliny kropelka za kropelką przesącza w długich i ciężkich przejściach duch chrześciański.

Nie wiem, czy istnieje coś trudniejszego jak przedstawienie tak radykalnej zmiany w zapatrywaniach i naturze ludzkiej, jaka prowadziła od poganizmu rzymskiego do

---

śli rozmarzonego dziewczęcia do rzeczywistości.

— Macosze?!... no! — ruszyła hardo ramionami i otrząsła się zupełnie z dziwnego wrażenia — chodźmy spać a opowiem ci wszystko, o czem rozmawialiśmy w tańcu oboje.

Gdy w panieńskim pokoju oba dziewczęta zwrócone twarzami do siebie, oparte na łokciach szepcą sobie poufałe zwierzenia, zamiast wypoczywać po trudach w śnie błogim — w przeciwległym rogu mieszkania w swoim pokoiku Franciszek Smolarz także zasnąć nie może.

Jakaś przykra mara go nawiedziła i odejść w żaden sposób nie chce, choć jej serdecznie na rozum tłómaczy.

— Czego chcesz, ty głupia maro odemnie, idź sobie precz. Co mnie do panny Loli? Co ona mnie obchodzi? Co mnie zresztą obchodzi ten tam — panicz Dyniecki? Tfy! Niech szczeźnie i on i jego taniec z moich oczu, żebym ich nigdy więcej nie widział. Pojadę sobie daleko i zapomnę zaraz że była jaka panna Lola na świecie. Bo w końcu, choćby nawet wyszła za Dynieckiego, to czego ja mam za nią żałować? Czy ja jej brat, czy swat, czy co takiego?... Tfy, także jakieś dziwne rozmyślanie, ni w pięć, ni w dziewięć. Bo pytam się, co mnie ona w końcu obchodzi? Pojadę sobie do Pragi, zacznę pracować i zaraz zapomnę, że była jaka panna Lola na świecie. A choćby nawet za niego wyszła — to cóż z tego? Niech szczeza i on i ona, niech szczezają oboje razem, kiedy się sobie spodobali... A ja pojadę do Pragi.

Takie myśli kręciły mu się po głowie wciąż w kółko: od Dynieckiego do Loli, od Loli do Pragi, od Pragi do Dynieckiego, od Dynieckiego znowu do Loli. Myśli te były coraz dziwniejsze, jakieś senne, zmęczone, przykre, ciężkie, bolesne...

Na drugi dzień wstał Franciszek Smolarz z zawrotem głowy. W warsztacie, podczas rozdzielania pracy między czeladź roboczą, i rozdawania sztab żelaznych oraz blachy na okucia, rozmyślał potrosze o własnych sprawach — a gdy czynność rozdziału ukończył, oglądnął roztropnem spojrzeniem podróżny swój kuferek na wszystkie strony i uznał, że dla bezpieczeństwa w drodze, należałoby sklepowy zamek wyrzucić, a natomiast przybić inny, jego własnego wynalazku. . zamek taki, któregoby żaden złodziej, żeby niewiedzieć jaki sprytny, otworzyć nie potrafi.

Zabrał się też zaraz do tej roboty.

VII.

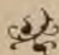
Przez kilka dni następnych, w domu Borajskich trwała między Lolą a macochą bezustannie podjazdowa walka.

Dziewczyna, napadana dla byle jakiej przyczyny, karcona, napominana, odcinała się zjadliwie i drwiła w żywe oczy z pani Marcysi. Borajska słabszą obdarzona od Loli inteligencyą, a grubszymi instynktami, nie umiała używać zaczerpniętych z książek porównań, przenośni, sarkastycznych zwrotów i w ogóle sztuki mówienia z taką jak ta dosadnością i pewnością siebie. Czując więc przewagę Loli w szermierce słownej, mściła się na niej w inny sposób, łatwiejszy i dogodniejszy dla płytkich umysłów, a tem przykrzejszy dla tych, co widzą nad sobą przemoc brutalnej siły, z którą logika i szlachetne uczucie do ładu nigdy nie dojdą. Pani Borajska, podrażniona, była nieubłaganą, mściwą. W braku uzasadnionych przyczyn, wynajdowała błahostki, mogące stanowić powód do łajania i przezywań, a przezwiska te były nieraz tak pospolite i obelżywe, że do żywego mogły wrażliwą zranić naturę. Lola odcinała się i wybuchała często wesołym śmiechem, który jeszcze bardziej drażnił macochę, lecz była to wesołość zazwyczaj sztuczna, na dnie jej bowiem tkwiło głębokie rozgoryczenie i smutek.

Lola płakała często w osamotnieniu.

W gruncie rzeczy była to dodatnia natura, aczkolwiek zbyt może samowolna, kapryśna, zbyt przez ojca, dawniejszemi laty, rozpieszczona. Z jednej więc strony umiała Lola dobrych ludzi kochać i być im za przyjazne słowo wdzięczną, słabszych brała w obronę, współczując z ich niedolę — ale przeciw niesprawiedliwości podnosiła hardo głowę. Płakała nieraz, przed ojcem jednak nie żaliła się nigdy mimo, że macocha często na nią skargi do Borajskiego zanosiła.

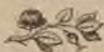
(Ciąg dalszy nastąpi.)



chrześciaństwa, a nie znam też nikogo, ktoby lepiej się z zadania wywiązał od Sienkiewicza, tak zręcznie i z taką subtelnością rzwiązał ten trudny węzeł psychologiczny. I Jeske-Choiński czuł, że jego obraz Rzymu byłby nie kompletnym, gdyby brakowało w nim nawróconego poganina i opisał dla tego nawrócenie Mucyi, narzeczonej Publiusza. Ale czytelnik nie widzi wszystkich szczegółów walki psychicznej, połączonej ze zmianą zapatrywań. Nawrócenie odbywa się bez przygotowania i raptownie, jak zmiana sukien. Mucya poznaje wiarę chrześciańską przez swą niewolnicę, udaje się z nią na miejsce modlitwy, a wysłuchawszy politycznej mowy Minucyusza Feliksa i uporawszy się z wątpliwościami patryotycznej natury, zostaje chrześcianką. Ułatwił sobie zadanie Choiński, nadając jej od samego początku wszelkie cnoty chrześciańskie, ale też nie wyjaśnił niczego.

Poruszymy tylko jeszcze punkt jeden. Społeczeństwo rzymskie Sienkiewicza charakteryzuje się samo przez swe postępowanie. Czytelnik znajduje się w roli widza, spogląda z daleka na świat i na ludzi, poznaje ich i wyrabia sobie sąd o nich i nie odczuwa wcale potrzeby komentarza w rodzaju Baedekera. Jeske-Choiński w gadatliwości swojej zasypuje swych czytelników tysiącem uwag, objaśnień i opisów, a jednak świat przezeń nakreślony nie przedstawia się jasno. Ileż zadał sobie trudu, aby uprzytomnić i uplastycznić stanowisko rzymskich niewolników. Opowiada, jak Tullia za drobne przewinienia czeszącą włosy niewolnicę kłóła śpilką, jak inną kazała ochłostać, jak Fabiusz do lochu ciemnego rzucił Tusneldę itd., aż do znudzenia. Sienkiewicz nie traci słów na długie opisy i objaśniające komentarze. Pokazuje tylko, jak Vinicius, rozgniewany na niewolnika, swego niegdyś piastuna, roztrzaskał mu czerep lichtarzem, ponieważ pozwolił wydrzeć sobie Lygię przemocą. Jeden rys lapidarny i sytuacya jest wyjaśniona.

Sienkiewicz opisuje Rzym Nerona jak spółczesny świadek dla spółczesnych, jak znający dokładnie stosunki dla obeznanych z niemi, nie bawi się w objaśnienia, nie wychodzi myślą po za świat, którego obrazem ma być jego powieść i dla tego właśnie tworzy arcydzieło. Jeske-Choiński zaś jest tylko histryonem, który za opłatą zobowięzuje się bawić „szanowną publiczność“ opisem Rzymu bez czarów, czerpie nic z swej duszy, nastrojonej do tonu rzymskiego świata, lecz z przeróżnych książek i podręczników, uważa za konieczne wytłomaczyć publiczności wszystko, co samemu wydaje się dziwnem, i olśnić ją bogactwem własnych rozumowań. Oto kardynalna różnica pomiędzy autorem „Gasnącego słońca“ a twórcą „Quo vadis“. *Z. Oleski.*



Dziwak-poeta.

(Aristide Bruant).

Północ, może później. Bulwar Rochechouart, w połowie wzgórza Mortmartre leżący, prawie pusty. W kawiarniach powoli gaszą światła. I tam, pod Nr. 84, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć zgiełk i wrzawę, zastajemy drzwi zatarasowane. A jednak to tu siedlisko poety, piosenkarza, szynkarza. Dzwońmy więc. Przez małe w drzwiach okienko ukazuje się za chwilę oko, patrzy na nas, poczem chowa się, a jakaś przyjazna ręka otwiera nam drzwi. Wchodzimy więc, a na wstępie sypią się na nas obelgi, podchwytywane chórem przez zebraną publiczność. „Qué gueules, que vinettes“ (co za mordy, co za ślepie)! Możemy jednak słów tych nie brać do serca; wymysły te należą do programu i dostają się każdemu wchodzącemu. Wyrafinowany paryżanin z eleganckiego świata, jak ostrą przekąską, rozkosztuje się wymysłami temi, padającemi z ust obdartych śpiewaków i obdartej przeważnie publiczności. Jeśli mamy miejsce, siadajmy, zażądajmy nawet piwa, którego lepiej nie pić — złe piwo podają tu też dla zasady — patrzmy i słuchajmy.

„Buda“ Bruant'a jest niewielka. Dwa małe pokoiki, gęsto zastawione zwykłemi drewnianemi stołami i stołkami. W jednem miejscu na niewielkiej estradzie pianino, tuż obok szynkwas, z poza którego roznoszą piwo. Mimo dymu, który gęstą chmurą przenika całą knajpę, widać, że ściany szczelnie pozawieszane rysunkami i malowidłami. Przeważna ich część, to ilustracye do piosenek Bruanta: wszystkie jednak tematy z tego samego źródła pochodzą: świat dziewczyn ulicznych, suterenów, bezdomnych nędzarzy, wielkie miasto podziemne i zwykle nieznane spogląda na nas z tych rysunków, rzucanych szerokiemi liniami. Publiczność najróżnorodniejsza. Trochę artystów z dziewczynami — ich to przecież jest dzielnica. — jakie studenckie wesołe grono, przybyłe ze swego quartier latin na drugim końcu miasta, czasem eleganckie towarzystwo z okolic St.-Germain, czasem kilku cudzoziemców, trochę prawdziwej cyganeryi, trochę i zwykłych przechodniów. Pomiędzy stołami, zaczepiając żartem i drwinami siedzących, przechadzają się mistrz i jego uczniowie. Uczniowie nieosobliwi, niczem nieodmienni od zwykłych „artystów“ z cafés chantants, ale mistrz! Postać to na wskroś oryginalna. Wysoki, tęgi, odziany w palone buty, krótkie spodnie, aksamitną kurtkę i nieodłączny na szyi szalik czerwony; twarz bez zarostu, ruchliwa, jak u aktora, oczy duże, wyraziste.

Nagle akompanjator siada do pianina. Bruant wchodzi na estradę. Słuchajmy. Nie jest to ani śpiew, ani deklamacya, ani mowa zwykła. To wszystko łączy się w jeden odrębny rodzaj, jedynie właściwy do traktowania piosenki. Spotyka nas jednak zawód: oto acz dykcya jest doskonała i wyraźna, rozumiemy bardzo niewiele. Brzmią jakieś nieznane, obce słowa, o których istnieniu we francuskiej mowie nie wiedzieliśmy dotąd. Nawet najbardziej symboliczne romanse nie zaznajomiły nas z niemi. Bo piosenki Bruanta dla nowej swej treści poszukały nowego języka i pisane są w żargonie paryskim, w gwarze uliczników. Utrudnia to, obcym zwłaszcza, rozumienie ich w pierwszej chwili. Pozostaje nam więc śledzić tylko mimikę i głos. Bruant jest bowiem również doskonałym wykonawcą. Powoli, acz wiele słów ginie dla nas, przygnębiony dźwięk jego głosu, jednostajny rytm piosenki przejmują nas smutkiem.

Na końcu każdej zwrotki powtarzający się „refrain“: A Saint-Lazare, pozwala nam potrochu domyślać się treści. Oto dziewczyna publiczna wzięta przez policyę do szpitala z ulicy, pisze list do swego kochanka. Żaden jeszcze poeta nie ośmielił się uświęcić poezyą takiej miłości, Bruant uczynił to zuchwale, bez przesady i stworzył prawdziwą perłę.

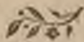
Brzmi piosenka smutna, pełna szczerego bólu, bez szczypty teatralnej przesady i sentymentalizmu, brutalna i bolesna, jak to życie, z którego jest wzięta.

Lecz oto Bruant kończy, piosnka urywa się na pożegnaniu wybuchają oklaski zasłużone. Uczniowie jego obchodzą stoły z garnuszkiem w ręku, każdy rzuca po parę sous. I grosze te przyczyniły się do wcale już pono pokaźnego majątku poety. Częstują nas również wydaniem dzieł Bruanta. Warto je kupić. Dwa tomy te pod wspólnym tytułem: „Duns la rue“ — oto dorobek poetycki, który, mimo czysto lokalnego charakteru, rozniósł imię Bruanta za Paryż i Francyę i za inicyatywą Coppée'go otworzył mu wstęp do tak „szanującego“ się towarzystwa literatów, jak Société des gens de lettres“.

„Dans la rue“ — świetny to tytuł dla piosenek Bruanta, który natchnienie swoje czerpie z ulicy, z tych, którzy po za ulicami i zaułkami nie mają nic. Świat najniższej kategoryi ulicznic, sutenerów, proletaryatu, przez atawizm może więcej niż przez warunki skazanego na nędzę i zbrodnię, nie ma dla niego tajemnic. Zna wszystkie jego typy. wie czem się różni dziewczyna z Montparnasse od innej z Batignolles; życie tych ludzi, ich uczucia i bóle znajdują w nim niewytwornego, ale szczerego do brutalności i wzruszonego śpiewaka. A dziedzina ta nie jest znów ani małą, ani niegodną uwagi. Pod przepychem wielkiego miasta, pod walką, która się toczy o posiadanie, pod protestem niezadowolonych, jest cała falanga niezdatnych do niczego, niepragnących niczego, pędzących wśród społeczeństwa życie luźne, dopóki więzienie, eksportacya, lub gilotyna końca mu nie położą. Sprawozdania komisarzy policyi i sędziów śledczych dają obfity materyał do charakterystyki tego świata; samo jego istnienie pomimo społeczeństwa jest dla tegoż szkodą i groźbą, a jednak nie zdobyło się ono na nic więcej, nad więzienie i kary. Wśród tych urodzonych skazańców, ledwie do czasu znoszonych przez prawo (domy publiczne urzędownie nazywają się domami „tolerowanemi“), Bruant umie odszukać i wypowiedzieć uczucia głębokie, ogólno-ludzkie, nawiązuje ze słuchaczem swoim odrazu tajemną nić współczucia dla wszystkiego co cierpi po ludzku: piosenka jego nietylko zachwyca nas, lecz wzrusza. W tem jego sztuka i potęga talentu. W tem też tajemnica wielkiej popularności Bruanta: piosenki jego są dzisiaj w ustach ludu; chłopak, rozwożący mleko, śpiewa mi co rano: Vivent les dos, vlà les dos!.

Skoro mowa o Bruant'cie, nie można milczeniem pominąć rysownika, który szkicami swemi ozdobił wydanie dzieł poety. Steinlen jest świetnym pejzażystą ulicy; przy każdem oświetleniu, przy każdym tłumie, potrafi spostrzedz i uwydatnić jej zasadniczy rys. Stworzył też szereg ilustracyi, tak znakomicie dopasowanych do treści, że niewiadomo nieraz, czy piosnka, czy rysunek najpierw powstały. Kupmy więc oba tomy Bruanta.

Zabieramy się do wyjścia. Ta sama ceremonia wymysłów powtarza się bez zmiany, nieco ciszej tylko, bo gości już ubyło. Po chwili znajdujemy się na ulicy, drzwi szybko zamykają za nami. Zwracamy się ku domowi. Bulwar po jednej stronie zupełnie pusty, ciemny, bo połowa latarni już zgaszona. Po przeciwnej stronie koło latarni snuje się kilka obdartych postaci w łapciach na nogach i czapkach na głowie. Przed chwilą słuchaliśmy pieśni, widzimy teraz bohaterów. Idźmy śmiało — jest nas kilku. *Lud. Bruner.*



Jerzy Brandes o Polsce.*)

I.

Znakomity krytyk duński Jerzy Brandes poświęcił kwestyi polskiej obszerne stu-

*) P. t. „Indtryg fra Polen“ (Wrażenia z Polski) wyszło w Kopenhadze interesujące dzieło

dyum, zaopatrzone wymowną dewizą „m a l g r é t o u t!“ Przedmowę rozpoczyna słynny autor w słowach następujących:

„Książka moja opisuje walkę, jaką toczy Polska o zachowanie bytu narodowego po utraceniu jedności i niezawisłości państwowej, przemocą wydartej. Czytelnik duński mógłby sądzić, że kraj tak daleki i naród mniej nam znany niewiele budzi interesu. Jednakowoż pomiędzy Polską a Danią, pomiędzy wypadkami jakie zaszły w ostatniem stuleciu u nas i w Polsce, wiele znajduje się podobieństwa. W roku 1814 oderwano od nas Norwegię, w roku 1864 Szlezwik, — równe więc poniekąd przechodzimy z Polską koleje“...

Książka Brandesa obejmuje około 400 stronnic druku, formatu ósemki, traktuje w pierwszej części o życiu społecznem i politycznem Polaków pod zaborem rosyjskim i pruskim, w drugiej omawia nasz ruch literacki i artystyczny. Poniżej podajemy przegląd interesującego dzieła i poszczególnych rozdziałów części pierwszej.

Autor opisuje na wstępie wrażenia z podróży, stosunki graniczne, Warszawę, jej fizyognomię zewnętrzną, stosunki językowe i teatralne, rusyfikacyę i rozporządzenia administracyjne. W rozdziale następnym poświęca kilka uwag historyi naszej i rozpisuje się o charakterze narodowym, dalej o stosunku Polaków do Francuzów, o sile odporności narodowej, dążeniach wszechpolskich, stosunkach wyznaniowych i partyjnych. Osobny rozdział jest poświęcony wydalaniom Polaków z granic państwa pruskiego, osobny polskiej kobiecie (De polske Koinder). Dalej mówi o ideałach naszych, cnotach i wadach, wychowaniu, demokratach, partyi socyalistycznej i wolnomyślnych.

Nadzwyczaj interesującem jest to, co powiada o systemie rosyjskim, o publicznych zabawach, uroczystościach, życiu towarzyskiem i atmosferze dusznej, panującej wszędzie.

Jak wiadomo, miał Brandes w Warszawie odczyt o literaturze polskiej. Starania, jakich się podjął w celu uzyskania pozwolenia do tego odczytu, zaznajomiły go z cenzurą rosyjską. Zawdzięczamy okoliczności tej znakomitą charakterystykę tejże. Rozdział: „Jak się pisze i mówi pod cenzurą?“ jest jednym z najbardziej interesujących. Na uwagę zasługuje i to, co Brandes pisze o skutkach moralnych, jakie stan rzeczy wywiera na młodzież, a ciekawe są również końcowe uwagi znakomitego autora o kwestyi odbudowania Polski.

W drugiej części dzieła poświęconej sztuce i literaturze polskiej, sięga Brandes czasów Skargi i Kochanowskiego, a kończy na najnowszych zjawiskach literackich, usiłując rozwój literatury polskiej przedstawić w ramach literatury europejskiej. Znajdujemy tam w tłómaczeniu duńskiem całe ustępy z dzieł Słowackiego, Krasickiego i Mickiewicza.

Zmysł krytyczny, zdolność spostrzegawcza i obrazowe uogólnienie zjawisk psychicznych, — przymioty, którem umysł krytyka duńskiego w wysokim stopniu się odznacza i które zjednały Brandesowi sławę europejską, — wszystko to znajdujemy w jego książce. Dzieło to śmiało zaliczyć można do najlepszych, jakie zag aniczni autorzy o Polsce napisali.

II.

Brandes jechał do Warszawy z Wiednia. Jako nieobznajomionego z praktykami rosyjskich urzędników granicznych, obchodzą go żywo wszystkie szczegóły kordonowej inkwizycyi. Swoją przeprawę tak opisuje:

„Pierwszą rzeczą, którą w mej torbie znaleziono, był numer N o u v e l l e R e v u e, w którym czytałem nowelę Sienkiewicza „B a r t e k - V a i n q u e u r“.

„Co to jest?“ pyta mnie najstarszy z urzędników po niemiecku.

„Co to jest?“ odpowiadam, — „jest to N o u v e l l e R e v u e“. — „Tak, ale co to jest“? — „Francuskie czasopismo“ — „Co ono zawiera?“ — „Rozumie pan po francusku?“ pytam. — „Nie!“ — „Jest tu ktoś, coby po francusku rozumiał?“ – „Nie!“ — „Są tam różne rzeczy, dwa numery, tuzin artykułów w każdym. Nie możliwe w kilku słowach opowiedzieć wszystkiego“. — „Więc zatrzymamy to tutaj i prześlemy cenzurze warszawskiej“. — „Czy pismo to jest zakazane?“ — „Wszystko jest zakazane, czego ja nie znam, a ja książki tej nie znam“. —

Ten sam los spotkał kufer z książkami duńskiemi, choć Brandes tłomaczył urzędnikowi, że książki duńskie nie mogą w Polsce wyrządzić krzywdy rosyjskiemu rządowi, bo tam nikt po duńsku nie rozumie. „Zagadką było dla mnie — pisze Brandes — że po dokładnem obejrzeniu słownika i przedstawionem przezemnie wyjaśnieniu, że w kolumnach znajdują się wyrazy bez związku logicznego, — oddano mi pierwszy tom, a drugi załączono do książek, które miała zbadać cenzura“.

„Tak więc, mówi Brandes, zaraz na granicy można się przekonać, iż człowiek znajduje się po za słupami granicznemi — cywilizacyi europejskiej“...

Porównując system ucisku pruskiego z rosyjskiem, powiada, że pierwszy jest świadomym celu, przebiegle obmyślonym i jednolitym, drugi natomiast bezmyślnym i bezcelowym; częstokroć też plany rusyfikatorów okazują się w wykonaniu niemożliwe.

Brandes jechał do Warszawy na zaproszenie kilku swych przyjaciół, którym przyrzekł trzy publiczne odczyty francuskie. Odczyty te podano cenzurze miesiąc przed jego przybyciem. Tutaj notuje Brandes fakt, iż kurator okręgu naukowego, wypoliczkowany przez pewnego studenta Apuchtin, nie umiejąc po francuzku, kazał mu odczyty te przetłomaczyć na język rosyjski. Brandes przytacza w książce każdy fakt, znany mu z opowiadań lub też własnego doświadczenia, charakteryzujący samowolę i ograniczoność umysłową urzędników rosyjskich.

Warszawa wywarła na Brandesie silne wrażenie. Mówi jednak, że człowiek nie może się tu oprzeć wspomnieniom dawnej świetności, stąd powstaje w podróżniku uczucie smętne. W przeszłem stuleciu była Warszawa obok Paryża najbardziej ożywionem miastem w Europie, — dziś jest rosyjskiem miastem prowincyonalnem. Różnicę można zauważyć tem snadniej, przyjeżdżając do Warszawy z Berlina lub Wiednia. Rząd rosyjski robi wszystko, co tylko w jego mocy, aby rozwojowi miasta przeszkodzić. Warszawa nie ma reprezentacyi miejskiej, samorządu, niema prawa rozporządzania dochodami, których cząstkę tylko rząd tutaj pozostawia, zabierając prawie wszystko dla Petersburga. Stan dróg około miasta jest lichy, bo gdy raz rząd 80 tysięcy rubli na wybudowanie drogi przeznaczył, skradli urzędnicy 40 tysięcy. Rząd o miasto nie dba, sam car Mikołaj, odwiedzając w r. 1835 Warszawę, powiedział deputacyi polskiej, iż cytadelę wybudował nie dla obrony grodu, ale dla tego, aby w razie nowych zaburzeń w gruzy całe miasto obrócić. Rosyanie nie budują dla pomieszczenia urzędów osobnych gmachów, które gdzieindziej są ozdobą miasta; wszystkie urzędy cywilne i wojskowe mieszczą się w dawnych budynkach publicznych lub też domach skonfiskowanych Polakom.

Jedynem miejscem — pisze Brandes, — na którem wolno publicznie mówić po polsku, jest teatr. Dotychczas nie zakazano dawać przedstawień polskich i ta okoliczność nadała teatrom u publiczności znaczenie pierwszorzędne. Wobec tego nie można się dziwić, że naród polski większe im przypisuje znaczenie, aniżeli każdy inny. W Warszawie literaci uzdolnieni, nawet najlepsze siły literackie, poświęcają swój talent recenzyom teatralnym.

Teatr warszawski znajduje się obecnie w porównaniu do jego świetnej przeszłości w okresie upadku. Kieruje nim urzędnik rosyjski, nie mający o sztuce żadnego pojęcia. Teatr warszawski posiada kilku wybitniejszych komików, ale nie ma sił pierwszorzędnych nigdzie, ani też poważnej szkoły dramatycznej, którąby wychowała nowe pokolenie artystów. Przeważną część repertuaru stanowią sztuki francuskie a sposób grania jest naśladownictwem francuskiem. Z artystek wylicza Brandes Helenę Marcello i panią Popiel, podnosząc niektóre zalety ich talentu. Modrzejewskiej natomiast poświęca kilka stronnic, przyznając jej bez wszelkich zastrzeżeń kierownictwo pośród wszystkich innych artystek w Europie. Z teatru przechodzi Brandes do uniwersytetu i notuje, że wszystkie przedmioty wykładają profesorowie, czy to polscy, czy rosyjscy, po rosyjsku, — nawet historyę literatury polskiej niewolno wykładać w języku polskim. Studentom zabroniono również w kurytarzach po polsku ze sobą rozmawiać. To samo dzieje się w szkołach średnich i niższych. Brandes przytacza fakt, jaki się wydarzył za jego pobytu, iż chłopca 12letniego skazano na areszt w ciemnicy za to, że wychodząc ze szkoły powiedział po polsku do drugiego: i d ź m y r a z e m!

Na zakończenie podnosi Brandes, iż dziki system prześladowczy popycha młodzież szkólną częstokroć do samobójstwa, oraz podkreśla monstrualność faktu, że pedagogowie rosyjscy miłość dziecka ku ojczystemu językowi uważają za zbrodnię.

D. Królikowski.



Tytani w obłąkaniu.

Tragedya tytanów, bohaterów idei, w polocie fanatyzmu rozpędzających się w bezmiary, kędy ziemia i świat realny giną z oczu, — psychologia tych płomiennych szermierzy, którzy, parci burzą, wrącą w ich łonie i mózgu, wzbijają się ku wyżynom nadludzkim, a oczarowani potęgą wyobraźni widzą zbawienie jedyne *w cudzie*, w gwałtownym przewrocie, — walka i tragiczny upadek tych bojowników, co próbując jednym zamachem poruszyć z posad ziemię, zamieniają się w demonów zniszczenia, — zaiste, temat to olbrzymi, ogólnoludzki, pozwalający wniknąć w prądy dzisiejszej ożywionej, szumiącej, lepszą przyszłością brzemiennej epoki, w której jednakże nie brak fanatyków i bohaterskich zapaleńców, zapominających, iż spiżowe prawa konieczności rządzą rozwojem świata i nie zmienią drogi ich ani na cal!

Taki jest przedmiot nowego dramatu Björnsona „Nad nasze siły“.

Tylko druga część dramatu stanowi nową pracę norweskiego mistrza; pierwsza część pod tymże samym tytułem pojawiła się przed dziesięciu laty. Łącznikiem, zespalającym obie części w jednę dramatyczną

Brandesa nie tłomaczone dotychczas na język polski, Jest ono poniekąd uzupełnieniem listów ogłoszonych przez nas w roku ubiegłym.

całość, jest pokrewieństwo osób działających; w pierwszej części bohaterem jest ojciec, w drugiej syn, który ducha swego wziął w spadku po ojcu.

* * *

W części pierwszej dramatu występuje tytaniczna postać: pastor Adolf Lang, którego potężna wiara góry przenosi, który ufny w wszechmoc Boga, nie opuszczającego wiernych sług swoich, nie zważa na żadne niebezpieczeństwo i nie zna granic w poświęceniu się dla dobra powierzonej sobie owczarni. Działa on cuda — i słynie w krąg jako cudotwórca. Małżonka jego, nie mająca wprawdzie tak żywej wiary, ale ulegająca demonizmowi męża, ciężko zaniemogła. Pastor żarliwe zasyła modły do Pana i *pewien* jest, iż Bóg wejrzy na swego sługę. Czeka cudu.

Jakoż chora podnosi się z łoża — sługa Boży widzi w tem cud, lecz łudzi się srodze. Żona niebawem umiera. Czyż rzekome cuda nie są jeno złudą i omamieniem, nie tłomaczą się w sposób naturalny? I w onej chwili spada bielmo z oczu pastora-cudotwórcy. Poznaje on, iż jest bezsilnym, nędznym prochem; iż człowiekowi nie dano jest przekraczać granic człowieczeństwa. To poznanie piorunem go razi i druzgocze. Adolf Lang, — bohater, co dążył „po nad siły“, — pada i ginie.

Olbrzymi, wstrząsający obraz walk duchowych fanatyka, trawionego żądzą wzlotu w bezmiary, wypełnia pierwszą część dramatu, w którym Björnson poruszył też problemat „cudów“. Podobne dążności, podobny konflikt i straszniejszy jeszcze upadek, odgrywający się na polu społecznem, stanowią przedmiot części drugiej.

* * *

Pastor miał syna Eliasza Langa. Ten w życiowej kolei utracił rychło wiarę, jest sceptykiem, ale w głębi jego duszy drzemią te same moce, co u ojca: gwałtowna potrzeba olbrzymich, bezkreśnych zapędów i czynów. I jego unosi „dążność w bezgranicze“, tylko że jemu przychodzi działać na polu społecznem, gdzie właśnie walka zacięta zawrzała, walka pełna niedoli i rozpaczy.

Scena się otwiera. Widzimy ciemną, ponurą rozpadlinę miejską, gdzie gnieżdżą się nędzarze w walących się lepiankach. Na wyżynie, w rozblasku słońca, jaśnieje miasto bogatych. Wysokie ceny, drożyzna, spowodowane nagłym rozkwitem przemysłu i handlu, zepchnęły biedaków pracujących na ten padoł. Zrozpaczona robotnica zamordowała dwoje dzieci i sama życie sobie odebrała Tłum szemrze, nie słucha perswazyi.

Na mownicę wstępuje jeden z tłumu, Bratt, piorunuje i ciągle oskarża tych w górze.

Eliasz słyszy te słowa i przejmuje się niemi do głębi. Ta niesprawiedliwość w rozdziale szczęścia i niedoli nie może mu się żadną miarą pomieścić w umyśle. Zwraca się do siostry Racheli:

— Jakżeż to możebne, że jedni mieszkają w pałacach, a drudzy w chatach mrą z głodu? Jakżeż oni mogą, jakżeż oni mogą!

Eliasz się burzy na widok „złych, którzy są szczęśliwi“, — a odziedziczywszy majątek, poświęca się cały idei: zakłada dziennik, naraża się na prześladowanie i podziela całą niedolę tych, których broni. Bogiem jego, któremu służy całą płomiennością fanatyka, jest „rosnąca sprawiedliwość“. Ale niebawem z rozpaczą poznają, iż próżno wyteża swe siły, próżno się targa — nadzieja zwycięztwa mroczy się i gaśnie, upadek jest niewątpliwy.

Przeciwko związkowi biedaków powstał związek milionerów. Na czele ich staje Holger, wyniosły, potężny, głęboko o swem prawie przeświadczony bogacz.

Eliasz widzi, iż pogrom nastąpić musi, klęska sromotna, rozpaczna! Sprawiedliwość odbierze policzek, zdepcą ją i oplwają! Więc, skoro na tej drodze nic wywalczyć nie można, stać się musi coś innego, coś *większego*. Poruszyć należy z posad ziemię. Choćby przyszło samemu ledz i zginąć, trzeba się odważyć na czyn wielki, aby wstrząsnął światem!

Tak rozumuje Eliasz, gorączką trawiony, porwany fanatyzmem. Atawizm odezwał się w nim. Jakoż bierze się do dzieła. W ten sam wieczór Holger urządził ucztę w swem pałacu. Gmach zbudowany w stylu średniowiecznym, z basztami i mostem zwodzonym, jaśnieje światłem jarzącym. Zgromadzeni dowcipkują na temat poświęcenia się Eliasza, a Holger temi słowami kończy mowę swoją:

— Jeżeli z tamtej strony dają się słyszeć głosy wołających, iż większość winna panować, a oni są większością, wtedy odpowiedzmy: Owady są też w większości. Jeżeli taka większość dojdzie do władzy, wtedy spokojnie, ale stanowczo powiemy: wytoczyć działa! A teraz, moi panowie, dalej do biesiady!..

I bal się zaczyna. Lecz cóż to? Kilku gości z przerażeniem wpada na salę, głosząc, iż drzwi zaparte są z zewnątrz żelaznemi wrzeciądzami i wyjść nie podobna! Lęk pada na zebranych, służba gdzieś znikła.

Jeden tylko służący się zjawia. Eliasz Lang postarał się o usunięcie niepotrzebnych ludzi. Blady, ale bezgranicznie spokojny i stanowczy, oznajmia on zgromadzonym, iż żywcem nie wyjdą z tej sali. Oto wraz ze swymi towarzyszami, odnalazłszy dawne podziemne kurytarze, wiodące pod zamek, nagromadził w piwnicach zapasy materyi wybuchowych. Chwila jeszcze, a pałac wyleci w powietrze, grzebiąc w swych gruzach wszystkich obecnych.

I z dumą męczennika, który chce, aby jego imię było milion, nie zdradza nazwiska swego przerażonym biesiadnikom.

Mgnienie oka — zamek legł w ruinie.

* * *

Eliasz Lang zginął, przeświadczony, iż gromem swoim utorował drogę lepszemu. Jakże jednak zawiódł się szaleniec, który mniemał, iż jednym zamachem zdoła pchnąć ziemię na nowe tory, jednem potężnem szarpnięciem wstrzymać obrót kół zegaru świata i nowe prawa rozwoju ludzkości ustanowić. Nie drogą gwałtownych przewrotów dokonywa się postęp w społeczeństwie...

Jakaż straszna reakcya, jakiż odwet ponury rozwielmożnił się na dymiących zgliszczach i zwaliskach!...

I na tem powinien się właściwie dramat kończyć. Ale poeta pragnął jeszcze rzucić pęk promieni świetlanych w te ponure mroki, pęk blasków, któreby rozjaśniły drogę przyszłości. Przydał przeto jeszcze jedną scenę.

Holgera krewniacy, Credo i Spera, chodzące abstrakcye, jak zresztą świadczą imiona, mają wyrazić nadzieję lepszej przyszłości, twierdzą więc, iż miłość, nadzieja, praca i przebaczenie są czynnikami, co zgotują promienniejsze czasy.

* * *

Tak więc upadł Eliasz Lang, jeden z typów współczesnych, człowiek, który dla idei nie waha się zostać zbrodniarzem. Prawdziwy to syn swego ojca. Jak ojciec w dziedzinie religijnej, tak syn na polu społecznem zapędzał się na oślep w bezmiary. Obaj są płomiennemi duchami, których idea oślepia i pozbawia logicznej myśli; tylko milieu, w którem działają, jest różne. Fanatyzm religijny i fanatyzm społeczny mają cechy wspólne.

Eliasz Lang — to prawdziwy bohater tragiczny. Najsmutniejsze brzemię fatalizmu zaciążyło na nim. Ginąc, nie ma tej pociechy, iż krwią swoją użyźnił glebę przyszłości. Pragnął przyspieszyć rozwój pomyślny, atoli zatamował go na długie czasy. Spotkał go podobny los jak Syzyfa w przepysznym utworze Konopnickiej p. t. „Prometeusz i Syzyf“. Syzyf iskrę światła niebieskiego, zdobytą przez Prometeusza, rzucił w miasto, które płonąć poczęło. I rzekł mu Prometeusz:

— Iżeś Bożej iskry nie wziął w duszę twoją, aleś użył jej do wywołania pożogi, zamieniam cię w kamień na wieków trzykroć trzydzieści. (Cytuję z pamięci).

Tak i Eliasz Lang kamieniem legł w poprzek drogi przyszłości. Prawdziwy ten bohater tragiczny budzi zgrozę. Zgrozę, bo siał zniszczenie i zagładę, litość, bo działał w dobrej wierze, a upadł.

A ludzkość kroczy dalej w niewstrzymanym zapędzie, ruiny znikają i z każdą wiosną zieleni się nowe życie.

Tak się przedstawia nowy, potężny dramat Björnsana, stwierdzający raz jeszcze żywotność, niezwykły poziom i powszechnoludzkie znaczenie nowej skandynawskiej poezyi.

Ludwik Szczepański.

Z estrady i sceny.

Alexander Pecznikow,
rosyjski skrzypek-artysta.

Po raz pierwszy zawita pojutrze do naszego miasta rosyjski skrzypek, którego wszyscy wytrawni krytycy berlińscy stawiają na miejscu naczelnem licznego korowodu skrzypków całego świata. Rzadka ta zgodność w opinjach krytyki uderza tem więcej, że wypowiadają ją reprezentanci różnych obozów. W obecnym razie godzą się jednak wszyscy na to, że gra rosyjskiego artysty wyróżnia się już dziś pod każdym względem, nawet w porównaniu z pierwszorzędnemi uznanemi wielkościami. I tak pod względem wielkości tonu nie ustępuje podobno Pecznikow znanemu skrzypkowi Wilhelmiemu, posiadającemu ton rzeczywiście imponujący. Przewyższa zaś niemieckiego artystę grą ciepłą, uczuciową, za serce wprost chwytającą.

Techniczna strona gry beznaganna. Artysta jednak, podobnie jak jego ideał: Joachim, posługuje się swą olbrzymią techniką, tylko jako środkiem do celu.

Program koncertu, który się u nas w poniedziałek, 20go.b. m. odbędzie, zawiera nadzwyczaj interesujące utwory literatury muzycznej. Jako główny numer uważać wypada wspaniały Koncert (d-moll), dla sztuki polskiej zbyt rychło zgasłego Henryka Wieniawskiego. Kompozycye tego genialnego mistrza wyróżniają się zawsze pomysłowością i pięknością motywów czysto rodzimych i posiadają niezaprzeczalnie wybitną wartość muzyczną. Klasyczną muzę par excellence reprezentować będzie: J. S. Bacha „Ciaccona“. Utwór ten pisany we formie waryacyi na temat staroświeckiego tańca zaliczyć należy do najtrudniejszych i najpiękniejszych utworów całej literatury skrzypcowej. Waryacye pisane są nadto na skrzypce solo bez akompaniamentu.

Prócz tego wykona artysta piękną „Serenade melancolique“ utwór najgenialniejszego rosyjskiego kompozytora: Czajkowskiego i dziarską „Havanaise“ Saint-Saens'a. Sądzę, że tak ze względu na

program nader interesujący, jak i wyjątkowe stanowisko, jakie artysta mimo swych młodych lat już dziś zajmuje, nie ominie muzykalna nasza publiczność koncertu rosyjskiego skrzypka.

Tu dodam tylko jeszcze kilka dat z życia młodego artysty.

Alexander Pecznikow urodził się jako syn zwyczajnego rosyjskiego żołnierza 8. stycznia 1879 r. w gubernii Orelskiej. Przypadkowo odkrył muzyk carskiej kapeli niezwykły talent dziesięcioletniego chłopczyny i oddał go do konserwatoryum w Moskwie. Tu pod umiejętnym kierownictwem profesora Grzymały szybkie i zadziwiające robił mały Oleś postępy. Chlubnie, bo z pierwszą premią, ukończył też artysta sławną szkołę. Księżna Urussow i kilku innych wielbicieli talentu jego nabyło za sumę 20,000 rubli cenne skrzypce po słynnym wirtuozie Laubie, aby je w darze złożyć artyście. Skrzypek nazywa cenny swój instrument: „moja żona“; w towarzystwie „jej“ zwiedził P. nietylko Rosyę, lecz także Francyą i Niemcy, wywołując niezwykłą grą swą wszędzie niekłamany podziw i zachwyt.

Edwin Jahnke.

NA WYŁOMIE.

(Słówko o karnawale. Balowe dyskusye w Towarzystwach poznańskich. Kwestya „Domu przemysłowego.“)

Książe Karnawał zapukał do bramy a publiczność na roścież otworzyła mu gościnne podwoje. Dziś nawet większą niż kiedykolwiek radością jaśnieją oblicza, bo rok ubiegły był w wielu domach narodową żałobą i postem. Nie wszyscy wprawdzie poczuwali się do obowiązku powiedzieć kuszącemu księciu: „Sto lat niewoli święcimy. Tu dom sieroctwa i smutku. Idź i szczęśliwszych poszukaj narodów“, — ale bądź co bądź większa część społeczeństwa zamknęła mu drzwi przed nosem lub tylko ukradkiem wpuszczała do mieszkań prywatnych i skromną przyjmowała owacyą. Minęła smutna rocznica i oto publiczność z śmiechem i krzykiem rzuca się w wir karnawałowy. Książe mazurów i walców otrzyma sute wynagrodzenie za dekonfiturę zeszłoroczną. Młody, uśmiechnięty i piękny zajeżdża poszóstną karetą, — grzmi muzyka, trzaskają hołubce, strzelają korki, — niech żyje!

Temat karnawałowy jest obecnie nietylko przedmiotem salonowych gawędek i flirtów, lecz figuruje na zebraniach naszych Towarzystw przemysłowych, rzemieślniczych i t. d. jako kwestya pierwszorzędnej wagi. A z jakim zapałem, z jakim wysiłkiem dowcipu i argumentacyi strategicy kampanii mazurowych bronią swoich „zasad“ i planów. Żaden odczyt, żadna kwestya organizacyi, żadna sprawa publiczna nie elektryzuje tak silnie naszych śpiących Towarzystw jak te „Hamletowskie“ pytania: Czy bal urządzić, czy nie urządzić? Czy na sali Lamberta, czy na sali Adamskiego? Czy we frakach, czy w tużurkach, lub w jednem i drugiem? Czy z bolą i tortem dla dam, czy bez boli i bez tortu? Czy wstępne ma kosztować markę, czy dwie marki? Czy z maską czy bez maski? Czy czterech gospodarzy czy sześciu? Czy dwa mazury czy jeden? — no! i setki podobnych problemów europejskiego znaczenia. Jakiż ruch, jakie życie i i werwę polemiczną budzi to jedno magiczne słowo: B a l! Prezes otwiera dyskusyę i pięćdziesiąt uczestników zebrania woła gromko: Proszę o głos! Sekretarz galopem zapisuje nazwiska mówców, ręka mu drży od pospiechu, — a nuż kogo zapomniał, nuż panu X przyznał pierwszeństwo, lubo pan Y. o ćwierć sekundy rychlej głosu zażądał. Dopieroż to będą dąsy i obrazy. A całe zebranie jak wzburzone morze. Reprezentanci przeciwnych „z a s a d“ krzyżują szpady, walka idzie na ostre, zwolennicy t u ż u r k a i k u r t k i zarzucają zwolennikom f r a k a tendencye arystokratyczne, zwolennicy „boli i tortu dla dam“ starają się wykazać poplecznikom „piwa“ brak dobrego tonu, elegancyi i szacunku dla polskiej białogłowy, „jednomarkowi“ drwią z „dwumarkowych“, że stosunków ani krty nie znają, mają oczy a nie widzą, mają uszy a nie słyszą, — wreszcie pada słowo nieparlamentarne, prezes powołuje do porządku, obrażony odbija duser jak kulę krokietu, znowu odzywa się dzwonek, zbliża się północ. wszyscy pomęczeni, ktoś proponuje odłożenie dyskusyi, życzeniu staje się zadość. Za tydzień lub dwa powtarza się kubek w kubek to samo i kwestya balu zajmuje czasem cztery do pięciu posiedzeń.

Czyż wobec tego dziwić się można, że ktoś złośliwy powiedział o naszych Towarzystwach: „Pół roku debatują nad balem, pół roku nad majówką“. I ten kult drobiazgów i błahostek, ta małostkowość dziwaczna, to rozcinanie każdego włoska na cztery części, to rozdeptywanie najlichszych materyi grasuje epidemicznie we wszystkich nieomal poznańskich i prowincyonalnych Towarzystwach, lubo każdy uczestnik, a najchętniej właśnie królowie gadatliwości przyznają ochoczo, że te majówkowe i balowe dyskusye, długie jak tasiemce, kompromitują powagę obywatelską. Sam byłem świadkiem, jak jedna z najwygadańszych męskich kumoszek, która przynajmniej piętnaście razy głos zabierała w „kwestyach skakających“, skarżyła się na przeciąganie dyskusyi, jako symptom „niedojrzałości naszej“. I rok w rok powtarza się to samo. Byle gadać, byle mieć ostatnie słowo, byle zaznaczyć, że się ma własną opinię. A czcza i mdła paplanina odstręcza poważniejszych ludzi. Wzruszają ramionami i ziewając opuszczają zebranie.

Lekarstwo na tę chorobę znam tylko jedno. Wszelkie perswazye i nawoływania na nic się nie zdadzą, — tu trzeba zarządy towarzystw wyposażyć w władzę samodzielnego rozstrzygania k w e s t y i d r o b i a z g o w y c h, do których niewątpliwie należą przecież sprawy tańcujących wieczorków lub zabaw latowych. Zarząd komunikuje uchwały swoje i zebranie przyjmuje je b e z d y s k u s y i do wiadomości. Nie jestem bynajmniej zwolennikiem absolutyzmu i nie pragnę ubijać zasady, że „rozstrzygającą instancyą w sprawach Towarzystwa jest Towarzystwo“, ale skoro pewną grupę członków powołano do steru, składając jej tem samem dowód wyraźnego zaufania, to niechaj ta grupa posiada prawo decyzi tam, gdzie kwestyę sporną stanowi frak lub tużurek, piwo lub bola. Jeżeli zaś tużurkowicze lub frakowicze uczują się dotknięci w swoich „zasadach“ uchwałami zarządu i ogromu boleści z pokorą znosić nie chcą, to niechaj sobie przy wyborze nowego sztabu prezydyalnego walczą w imię fraka lub tużurka i pod tym hasłem zwolenników swoich powołują do steru. Każdy kandydat na prezesa, wiceprezesa itd. złoży na wstępie publicznie swoje kredo balowe, które na wieczną rzeczy pamiątkę zapisane zostanie w protokóle. Unikniemy w ten sposób częstego młócenia słomy i ciętych polemik, trwających nieraz summa summarum kilkanaście godzin.

Tymczasem życzę wszystkim amatorom białych i czarnych polek wesołej zabawy i żal mi tylko, że balujące Towarzystwa na niemieckich salach pić, jeść i tańczyć będą. Polski „Dom przemysłowy“, który wedle projektu stać się ma miejscem zbornem wszystkich tańcujących i nietańcujących zebrań, znajduje się dotychczas zaledwie w pierwszym okresie embryonalnego rozwoju i wobec licznych wymagań, które sprawa narodowa stawia w najrozmaitszych kierunkach do ofiarności publicznej, nie ma na razie widoków prędkiego urzeczywistnienia. Gdyby jednak możliwem było uskutecznić przymierze wszystkich Towarzystw poznańskich, z których niektóre posiadają dość znaczne fundusze, to sprawa „Domu przemysłowego“ zyskałaby nie mało. Nie jest to myśl nowa, ale energicznie dotychczas nikt jej nie popierał. Wiem dobrze, że kompromis Towarzystw poznańskich wobec panujących niechęci, rywalizacyi, zazdrości i uprzedzeń napotka poważne trudności, ale wiem również, że zapał w połączeniu z zręcznością przezwycięża nawet trudniejsze przeszkody. Takie przymierze ludzi i kapitałów dla wspólnego, a gorąco przez wszystkich upragnionego celu, byłoby bądź co bądź odpowiedniejszym tematem dyskusyi na zebraniach Towarzystw naszych niż paplanina o balach i majówkach. Gdybyż przynajmniej na razie zwołać można przygotowawcze zebranie prezesów lub całych zarządów!

Pomyślmy o tem!

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Marylka. Marguerite Poradowska, znana powieściopisarka francuzka, pochodząca z polskiej rodziny, wydała nową powieść, osnutą na stosunkach podolskich p. t. „M a r y l k a“. Romans odznacza się zręczną techniką pisarską, — pod względem charakterystyki jednak wykazuje braki poważne. Francuzów zainteresują niewątpliwie opisy nieznanych im typów i stosunków, a mianowicie barwne opowiaoanie o rytualnych obrządkach u podolskich żydów.

* * *

* **Kradzież literacka.** Wiadomem jest, że amerykańscy nakładcy, przedrukowują mnóstwo polskich książek bez zezwolenia wydawców i autorów i że nie potrzebując opłacać żadnych honoraryów autorskich, sprzedają książki te po znacznie zniżonej cenie, wskutek czego wyrządzają dotkliwą stratę naszym wydawcom i hamują tem samem prawidłowy rozwój księgarstwa polskiego. W sprawie tej otrzymał „Przegląd handlowo-geograficzny“ od Wydziału Oświaty Ligi Polskiej następujący list:

Chicago, III. 13. listopada 1895.

Szanowna Redakcyo!

Bezczelność, z którą niektórzy tutejsi polacy drukarze wobec pisarzy i wydawców z kraju postępują, oburza każdego sumiennego człowieka. Kradzież literacka, przeciwko której ogłoszono protest, a której mimo to w najnikczemniejszy sposób dopuszcza się najwięcej drukarnia p. Dyniewicza, nietylko, że znaczne materyalne straty przynosi wydawcom w kraju, ale nadto szkodzi w najwyższym stopniu literaturze samej i autorom. Tego rodzaju kradzieżom postanowił zapobiedz „Wydział Oświaty“ Ligi Polskiej i upoważnił mnie do poczynienia odpowiednich w tym celu kroków.

Najłatwiejszy na to środek, aby tak pisarze polscy w kraju, jak i wydawcy postarali się na swoje wydawnictwa o t. zw. „copyright“, czyli zastrzeżenie rządowe, że dzieła nie wolno nikomu innemu drukować lub z niego coś kraść.

Staranie się o „copyright“ dla braci w kraju tu na miejscu połączone byłoby z wielu trudnościami. Postanowiliśmy tedy zająć się tem sami, nie narażając interesantów na wielkie koszta. Żądamy na koszta ztąd powstałe, których wysokość zależy od objętości tomu, *tylko* 7 (*siedm*) *dzieł, czyli książek*. Dwie z tych zostają w Washingtonie, a pięć zatrzymuje „Wydział Oświaty“ dla siebie. Książki zaś, na które weźmiemy „copyright“ ogłaszać będziemy w „Dzienniku Chicagoskim“, „Wierze i Ojczyźnie“ i Gazecie Katolickiej“. Tym sposobem zmusi się bogatych handlarzy do sprowadzania książek w większej ilości i zapobiegnie się bezwstydnej kradzieży. — Na prawej czyli drugiej stronnicy pierwszej karty każdej książki zamieszczona musi być uwaga: Copyright 1895 by (nazwisko właściciela książki). Przypuśćmy, że ja jestem nakładcą jakiejś książki, wtedy drukuję na oznaczonem miejscu — Copyright 1895 by Zg. Kowalski.

Proszę zatem tych, którym na tem zależy, aby nowe dzieła, które dopiero opuściły prasę i nie są jeszcze w handlu, na niżej podpisanego ręce przysyłać zechcieli.

Z szacunkiem uniżony

Zg. Kowalski,

sekr. Wydz. Ośw. 141—143 W. Division Str.

* * *

* **„Przymawiał kocioł garncowi“.** My, ktorzy się gniewamy strasznie na francuzów, gdy nie znają naszej geografii i literatury a pienimy się z szlachetnego oburzenia, gdy niemcy przypadkowo przekręcają ortografię polskiego nazwiska, niezawsze mamy do tego prawo. I my niezawsze na wzór znajomości literatury zagranicznej stawiani być możemy. I tak: p. Kazimierz Kaszewski uchodzi między nami za niezgłębione źródło wszelkiej erudycyi literackiej. Niestety! Należy w tym kierunku zrobić pewne zastrzeżenia. W jednym z ostatnich numerów „Echa“ warszawskiego pan Kaszewski w artykule o Szekspirze utrzymuje, że „Efraim Lessing“ był „żydem łużyckim». Można wielu rzeczy nie wiedzieć, ale, już nawet nie uczonemu, ale przeciętnemu warszawskiemu literatowi nie godzi się nie znać stanowiska Lessinga w literaturze niemieckiej, polegającego właśnie na tem, iż tenże z żydowskiem pochodzeniem nie miał nic wspólnego. Lessing pochodził z rodziny znanej już w Niemczech w połowie szesnastego wieku. Obaj jego dziadowie po mieczu i po kądzieli, byli pastorami, pierwszy: Teofil Lessing słynnym autorem dzieła „O filozofii religii“, ojciec pastorem na Górnych Łużycach, on sam zaś również początkowo oddawał się studyom teologicznym... Właśnie ta jego pastorska genealogia odbiła się i zaznaczyła na działalności w literaturze niemieckiej, dokąd pierwszy wniósł prądy humanizmu i swobody, pierwotnie przez dzieła teologiczne („Fragmenty wolfenbüttelskie“, „Rozmowy dla wolnomularzy“, następnie przez poetyczne i dramatyczne („Natan Mędrzec“). Dzięki właśnie swemu stanowisku i pochodzeniu, mógł on przeprowadzać również i w życiu wyznawane przez siebie zasady tolerancyi i wprowadził pierwszy w osiemnastym wieku do społeczeństwa chrześciańskiego żyda filozofa Mojżesza Mendelssohna. Wskutek tego zapewne, albo też wskutek biblijnego jego drugiego imienia, używanego w Niemczech między pastorami, p. Kaszewski zrobił go żydem; gdyby p. Kaszewski był zajrzał choć do encyklopedyi, byłby się dowiedział, że nosił on dwa imiona: Gotthold Efraim, a wtedy może nie byłby się tak pokwapił z wyprowadzeniem swych dedukcyi. Biedny Lessing! Ani przeczuwał, że w sto kilkanaście lat po śmierci spotka go „despekt“ podobny w Warszawie i to nie z pod pióra brukowego reportera, ale jednej z chwał naszej literatury...

* **Autorzy dramatyczni a teatr warszawski.** W warszawskiej korespondencyi „Kraju“ czytamy;

„Względem autorów naszych teatr nie poczuwa się do żadnych wyjątkowych obowiązków, traktuje ich jak z łaski, materyalnie wynagradzając bardzo marnie, a w stosunkach z nimi zachowuje pewną oficyalną wyższość i rezerwę, tolerując zaledwie ich istnienie i nie troszcząc się o nich wcale; wypływa to po większej części z tego powodu, że w teatrze samym czynnik literacki zdaje się stać na ostatnim planie, a administracyjno-kasowe względy na pierwszym. Autor w tych warunkach uważany jest niejako za dostawcę teatralnego, który w swoim własnym interesie powinien zabiegać, starać się, zalecać na najkorzystniejszych warunkach swój towar i uważać się za szczęśliwego, jeżeli mu się go zbyć uda. Scena tak, jakby go niepotrzebowała.

Wręcz przeciwnym jest tu stosunek teatru do autorów, niż wszędzie indziej, zwłaszcza za granicą, u niemców lub francuzów. Tam teatr o nich się stara, ich pracy poszukuje, ich wartość ocenia, jak należy, ich utwory odpowiednio opłaca i uważa za wspólny interes sceny i dramaturga wystawienie jego dzieła; u nas niemal za przysługę, czynioną autorowi, gdy mu reżyserya przyjmie, obsadzi i wypróbuje komedyę lub dramat, za który raz na zawsze od 150 do maksimum 500 rubli zapłaci dyrekcya, bez względu na to, iż sztuka „ciągnie“ i przez kilkadziesiąt wieczorów daje „pełną salę“.

Kwestya honoraryów autorskich w Warszawie należy do spraw, które w obopólnym interesie raz przecie załatwićby należało po sprawiedliwości, zrywając z przestarzałą od dawna formą i normą. Zyskałby sobie wielkie prawo do uznania i pamięci w historyi naszego teatru taki kierownik, któryby zechciał tą sprawą się zająć po europejsku i uregulować ją nareszcie odpowiednio. Potrzebaby tylko chcieć wprowadzić tę kwestyę na porządek dzienny reform teatralnych, a zdaje mi się, że wiele trudności nie byłoby do pokonania. Wiem, iż nieboszczyk jen. Karandiejew, poprzedni prezes teatrów warszawskich, w planach swoich na przyszłość nosił się z myślą pozostawienia po sobie takiej właśnie pamiątki i postarania się o zatwierdzenie tantyemy autorskiej. Śmierć przerwała, niestety, dobre jego zamiary“.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Śmierć świeżo zmarłego milionera Lebaudy'ego odkryła znowu korupcyę prasy francuzkiej. Aresztowano kilkanaście osób, które utworzyły formalną organizacyę dla ograbienia niedoświadczonego bogacza. Do skompromitowanych należy głośny współpracownik Figara p. Jacques Saint Cère i znana literatka pani Séverine. W wyzyskiwaniu milionera brali również udział oficerzy francuzcy. — W Prusach wynosiły przeciętne ceny za najniezbędniejsze artykuły żywności: za 1000 kilogramów pszenicy 143 marek (w listopadzie 141), żyta 120 (120), jęczmienia 125 (126), owsa 118 (118), grochu do gotowania 196 (197), grochu długiego 277 (275) soczewicy 383 (378), kartofli 41,8 (40,5), słomy 39 (39,3) siana 46,6 (46); mięsa wołowego w handlu hurtownym 1065 (1067); za kilogram mięsa wołowego 1,35 (1,36). wieprzowego 1,16 (1,28), cielęciny 1,31 (1,30), skopowiny 1,20 (1,22), słoniny 1,55 (1,58), masła stołowego 2,24 (2,26), smalcu 1,51 (1,52), maki pszennej 0,27 (0,26), rżanej 0,22 (0,22) kopa jaj 4 32 (4,07). — Sprawa transwalska kończy się pokojowo. Po wymianie listów między cesarzem Wilhelmem i cesarzową Fryderykową z jednej strony, a królową angielską z drugiej, widmo wojny nie zagraża Europie. — „Kuryer Warsz.“ donosi, że sprawa Morskiego Oka rozstrzygniętą zostanie w drodze sądu polubowego. Z każdej strony wystąpi tylko jeden arbiter, a dopiero wtedy, gdyby dwaj arbitrzy porozumieć się nie mogli, powołanym będzie superarbiter, — prawdopodobnie w osobie cesarza. Zdaje się, że jedna i druga strona poczyni pewne ustępstwa.

Teatr i muzyka. Po długiej nieobecności ukaże się znowu na scenie poznańskiej Moliere. W najbliższy czwartek bowiem odegranym zostanie na benefis p. Knapczyńskiego „Don Juan“, — utwór nie dorównujący może takim arcydziełom jak Le Tartuffe, l'Avare, le Misanthrope, Les femmes savantes, ale bądź co bądź noszący na sobie piętno niezrównanego talentu wielkiego komedyopisarza. Beneficyantowi, należącemu do ulubieńców publiczności naszej a składającemu od lat wielu dowody wybitnego talentu na poznańskiej scenie, wyrażamy uznanie, że obok królujących wszechwładnie fars nowoczesnych, ukaże nam znowu prawdziwego komedyopisarza. — W czwartek ubiegły odegrano na scenie naszej premiowany utwór Wołowskiego p. t. „Towarzysz pancerny“. Obszerniejszą ocenę odkładamy do przyszłego numeru, nadmieniając tu tylko, że sztuka nie jest pozbawiona zalet scenicznych. Rolę głównego bohatera, Jana Chryzostoma Paska, odegrał znakomicie p. Knapczyński. — We wtorek debiutowała po raz drugi na scenie poznańskiej p. Barska w komedyi Bałuckiego „Flirt“. Dziwimy się, jak dyrekcya, po zupełnie nieudanym pierwszym debiucie mogła p. Barskiej powierzyć trudną rolę Zofii Płonickiej. Występ początkującej adeptki sztuki raziłby niewątpliwie nawet na deskach teatru amatorskiego. Zgrabna figurka i piękne włosy to za mało do karyery scenicznej. Wyrażamy zatem nadzieję, że dyrekcya oszczędzi nam na przyszłość podobnych widowisk. — Eleonora Duse występuje z nadzwyczajnem powodzeniem w Sztokholmie. Król Oskar obdarzył orderem znakomitą artystkę. — Znana publiczności poznańskiej p. Martha Thorsen-Jankowska wystąpiła we Lwowie w roli Małgorzaty w Fauście. Krytyka, a mianowicie recenzent „Kuryera Lwowskiego“, wyraża się ujemnie o śpiewie p. Jankowskiej. — Nowości operetkowe: „Le Capitole“ Serpette'a i „Fedra z Aten“ Federmanna. — Dyrektor teatru lwowskiego p. Z Przybylski powrócił do zdrowia po długiej i ciężkiej chorobie. — P Dąbrowska, primadonna opery warszawskiej, występuje gościnnie na lwowskiej scenie. — W operze nadwornej w Koburgu występuje z wielkiem powodzeniem koloraturowa śpiewaczka, rodaczka nasza p. Felicya Bąkowska, pod pseudonimem Benno. — W Lugos na Węgrzech odebrała sobie życie słynna z urody artystka, p. Gizela Deak-Blad. Powodem miały być nieszczęścia familijne.

Maryan Gawalewicz donosi w „Kraju“ o ponownym nieudanym debiucie pani Selens na warszawskiej scenie i także z tego powodu załącza uwagi:

„Debiutowała ponownie pani Selens, bez powodzenia. Czy ten sposób powiększania nieużytków i tak zbyt licznego personału przyniesie scenie jaki pożytek, nawet w najdalszej przyszłości, śmiem powątpiewać. I tak na budżecie teatru ciąży balast zupełnie nie wyzyskiwanych „sił i środków“, o których złośliwy dowcip trafny ukuł aforyzm, że: „Nie dla tego się jest w teatrze, aby być w teatrze, ale dla tego się jest w teatrze, aby nie być w teatrze“.

Mógłbym wyliczyć cały szereg nazwisk, figurujących na liście płacy, a nie spotykanych prawie nigdy na afiszu, albo tak rzadko, że ich wynagrodzenie stosunkowe za jedną rolkę wyniosłoby największe „feu“ pierwszorzędnych artystów.

Po co trzymać i po co powiększać zastęp takich rarytasów scenicznych, jeżeli się z nich nie użytkuje? Są pomiędzy niemi nawet i zdolności, ale te chyba nigdy nie wyrobią się i nie zabłysną na warszawskiej scenie, bo docisnąć się do obsady trudno bez szczególniejszych względów reżyseryi. Teatr warszawski nie jest ani szkołą, ani pepinierą młodych talentów; posiłkuje się tylko pewnym stałym kompletem sił wyrobionych i rutynowanych, które swojego przywileju do ról i „feu“ strzegą pilnie i gorliwie. Nie jest przeto żadną korzyścią zaczepić się o naszą scenę dla względów artystycznych i łudzą się ci wszyscy, którzy sądzą, że nawet przy danych warunkach i uzdolnieniu mogą dojść do czego, nawet gdy zostaną zaangażowani.

Lata płyną, młodość mija, a nawet rutyny nie przybywa, gdy się jest zsunięty w kąty zakulisowe i, co najwięcej, statystuje w większych sztukach. Zaszczyt zaliczania się do personału teatru warszawskiego okupywać trzeba często zupełnem zrzeczeniem się aspiracyi artystycznych.

Gdyby jeszcze istniał u nas dobry zwyczaj dublowania ról, jak się to dzieje w operze lub balecie niekiedy, gdyby wybierano i obsadzano sztuki z uwzględnieniem wszystkich, nawet najmniejszych zdolności, by im dać sposobność popisu i emulacyi, możeby było lepiej, ale na tę odwagę i ryzyko nie zechce się zdobyć dzisiejsza reżyserya, aby „zdrowej głowy nie kłaść pod ewangelię“.

Odpowiedzi Redakcyi.

St. P. Niechaj Pan sobie uwielbia te „białe piersi szaty“, które „kala łeb kosmaty“, — życzymy z całego serca powodzenia w afekcie i zwycięstwa nad „łbem kosmatym“ — ale na rany boskie niech Pan nie pisuje poezyi.

Marzycielka. Nowella jest trochę sztuczna i szczudłowa, ale wykazuje ślady niewątpliwego talentu. Prosimy o więcej próbek.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.